

317767 39

PRZED ŚLUBEM I PO ŚLUBIE

CZYLI

DWA PRĄDY NASZEGO SPOŁECZEŃSTWA.

OBRAZEK DRAMATYCZNY

W DWÓCH ODDZIAŁACH,

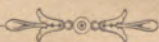
5-ciu aktach, 2-ch odsłonach.

Rzecz dzieje się w roku 1830 na wsi pod Warszawą.

I-szy i II-gi akt w pałacu podczaszego Żalomskiego.

III-ci i IV-ty w pałacu ordynata Zaborolskiego, V-ty w Warszawie.

Śpiewy można zmieniać stosownie do okoliczności.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

1881.

7

Osoby w III., IV. i V. akcie.

Rzecz dzieje się dwa lata później.

JENERAŁOWA TUROWSKA.

ZDZISŁAW, jój syn.

JULIA, żona jego.

Hr. ALFRED ZABOROLSKI.

MARYA, żona jego.

MALWINA hr. GROCHOWSKA, siostra Alfreda.

JANUSZ hr. GROCHOWSKI, mąż jój.

Książe GUSTAW OLIŃSKI.

LEON MIRSKI, przyjaciel Alfreda.

Hrabina NATALIA, przyjaciółka Malwiny.

ADELINA LEROIS, śpiewaczka.

JOLANTA, klucznica Maryi.

SYDONIA, żona kamerdynera, Francuzka.

DOKTÓR.

SŁUŻĄCY.



AKT I.

SCENA I.

Scena wystawia salon elegancki, w środku fotele stojące koło stołu, na którym leżą koszule, bandaż i szarpie, kanapa z boku, na niej porozrzucane białe i czerwone ułańskie chorągiewki, jedna z nich duża i haftowana, drzwi w środku otwarte na balkon, po bokach widać ławeczki, w prawo i lewo sceny mniejsze drzwi.

OSOBY.

PAN PODCZASZY i PANI PODCZASZYNA.

Oboje poważnej i przyjemnej postaci, włosy siwe i pudrowane. Pan podczaszy trochę polysiały, pani z lokami, ubiory przeszłego wieku. Pan podczaszy w krótkich spodniach, frak obszerny czarny, westka biała z dużym żabotem, ma tabakierkę w ręku, po zażyciu otrzepuje żabot, oboje siedzą przy środkowym stoliku, pani podczaszyzna w okularach skubie szarpie.

PANI PODCZASZYNA.

Cóż Jegomość mówi na to, co się dzieje? czegośmy się to jeszcze doczekali?

PAN PODCZASZY.

Abo to moja Jejmość Dobrodzika już niezwy-
czajna tego? A kto to za mężem płakał w 94-
tym? Kto to poselał na msze święte do wszyst-
kich miejsc cudownych, żeby Kościuszkę zwy-
cięzył, żeby mąż nie zginął i koniecznie z krzyżem
powrócił!

PANI PODCZASZYNA.

(trzęsie głową i uśmiecha się).

Nie zginął, z krzyżem powrócił! Modlitwy
pomogły, Pan Bóg pobłogosławił!

PAN PODCZASZY.

No, widzi Asińdzka, że się wszystko dobrze
skończyło! Potem nasza córka płakała tego czego
dawniej jej matka płakała. Ale jej generał to zu-
pełnie co innego, on to dopiero po pięknej mu-
zyce i ślizgięj posadzce tańczył na Berezynie!

PANI PODCZASZYNA.

Gdzie ona tam płakała, wcale nie płakała,
tylko pojechała za nim, choć ręce i nogi marzły,
zbierała i opatrywała rannych. (porusza głową) To
mi kobieta z głową, to mi kobieta z sercem!
A czy Waś myśli, że ona dziś swego jedynaka
płacze? Żeby nie był poszedł sam, byłaby go
z pewnością wypędziła!

PAN PODCZASZY.

Widzi Jejmość... „kto ma wisieć, ten nie utonie.“ Jenerała ani rany, ani pięćdziesiąt bitw nie zabiło, tylko choroba w łóżku zabrała!.. Przetrwał 94-ty, przetrwał 6-ty, 9-ty i 12-ty rok, mój Boże, czemuż nie dożył 30-go?!.. Ale teraz, wszystko mi się zdaje, że Jejmość Dobrodzika, (całuje ją w rękę) moja królowa Barbara, przytem wszystkiem co się dzieje, zapomniała, jaka to jutro rocznica?

PANI PODCZASZYNA.

Jegomość sobie żartuje ze mnie, a przecież ja już od 50-ciu lat zaczynam zawsze nowennę, która się kończy drugiego października w samych stróżów aniołów!

PAN PODCZASZY

(powstaje i chodzi po pokoju).

O! tak, tym to Stróżom Aniołom winienem moją dozgonną przyjaciółkę. Przyrzekłem im co rok w ten dzień u stopni tego samego ołtarza dziękować Bogu za moją panienkę, za moją Basię i świętą żonę!.. (Zbliżyła się do żony, przytulił głowę do piersi i otarł łzę z oczu).

PANI PODCZASZYNA.

Nie może Jegomość narzekać, jutro znowu ten

sam kapłan, u tego samego ołtarza będzie z tym samym Panem Jezusem czekał na nas.

PAN PODCZASZY

(chodzi i staje chwilami do rozmowy).

Ale, ale à propos, nie mówiłem jeszcze Asińdze, jaką też miałem wczoraj miłą konwersacyję z panem Januszem. (kiwa głową) Gdzie on się też to takich herezyj nauczył?.. Od razu pyta mi się, „dawno też pan podczaszy ożeniony?“ a nie czekając odpowiedzi, mówi z głębokiem i smutnem westchnieniem „bo ja już pięć lat,“ a ja dopiero „pięćdziesiąt“ odpowiedziałem mu z uśmiechem!

PANI PODCZASZYNA.

Dobrześ Waszeć odpowiedział temu chłystkowi.

PAN PODCZASZY.

On na to dalej mówi „a to niepodobno? Jak też to pan podczaszy mógł te pięćdziesiąt lat z żoną wytrzymać? To tak nudno mieć zawsze żonę na karku.“ „Ja też mojej nie mam na karku, tylko w sercu“ odpowiedziałem. Nie chciał wierzyć, żeśmy się nigdy nie rozłączali, że pod jedną kotarą i w téj samej mieszkamy komnacie, zachowując zasady i zwyczaje rodziców. Roześmiawszy się na głos, szanowny ten młodzieniec,

powiedział: „A to też te zwyczaje i zasady muszą być śmieszne jak stare żurnale.“

PANI PODCZASZYNA.

Nie ma co mówić, grzeczny kawaler!... Wiadomo, że matka jego wychowana „Pod Blachą“ na pensyi pani Vaubant (Woban) a syna zapewne oddała na wychowanie do loży masońskiej.

SCENA II.

CI SAMI. PANI JENERAŁOWA. (Zbliża się i całuje rękę matki i ojca).

JENERAŁOWA.

Całuję rączki Mości Mamuni Dobrodzice i kochanemu Papie.

PANI PODCZASZYNA.

A czy nasza jenerałowa ma świeże wiadomości z Warszawy?

JENERAŁOWA.

Mam, Mamo Dobrodziejko, mam, promienieją nadzieją, wolnością i szczęściem, Zdzisław donosi, że jutro przyjedzie na kilka godzin; trzeba nam wszystko przygotować, (ogląda się) wszystko co będzie gotowe, zabierze ze sobą.

PAN PODCZASZY.

Pani generałowa taka wojenna, że zapomniała dzisiaj o mszy świętej, albo może też zasnęła?
(Grozi jej palcem.)

JENERAŁOWA.

Nie, kochany Papo, nie zasnęłam i nie zapomniałam, muszę się przyznać do winy, odprowadziłam panienki do jeziora, gdzie dzisiaj wielkie rybołówstwo, pospolite ruszenie całego sąsiedztwa. Zaborol dostawił swój cały kontyngens, będą nasze panienki miały trochę rozrywki.

PANI PODCZASZYNA.

A cóż tam Zaborolowi po rybach, oni nigdy nie poszczą, post to jest stary żurnal; potem przyznam Ci się, że ja boję się tego rybołówstwa, tam pewnie nie chodzi o złapanie ryb z jeziora, chodzi tylko o jedną złotą rybkę, którąby chcieli na swoją złowić wędkę! A ja powiem Ci szczerze (kiwa głową), że nie lubię tej młodzieży, która ryby łowi, kiedy wszyscy się biją!

PAN PODCZASZY.

Nie chcę być nieposłusznym naszej generałowy, ale Mamunia i Babunia Dobrodziejka mają wielką słusność.

JENERAŁOWA.

Kochany Papo, jestem tego samego zdania, ale myślę, że pan Alfred dlatego jeszcze jest w domu, że administruje tak wielką ordynacją, i mam przekonanie, że pod dobrym wpływem zupełnie mógłby się zmienić.

PANI PODCZASZYNA.

On jak on, ale pana Janusza i panię Malwinę, tych to Ci już daruję, to są kwiaty wyrosłe ze zgnilej cieplarni „Pod Blachą.“ Ich rodzice tańczyli Angleza z Niemcami, kiedy nasi krew' rozlewali we Włoszech i San-Domingo.

JENERAŁOWA
(całuje rękę matki).

Niech się na mnie Mościa Mamunia Dobrodziejka nie gniewa, ale oto i panienki już wracają.

SCENA III.

CIŻ SAMI — MARYA i JULJA

(Skromnie ubrane, Marya wchodzi prowadząc dwoje dzieci za rękę, ubogo ubranych i boso, później wchodzi Julja prowadząc niewidomą staruszkę).

MARYA

(mówi ożywiono pod wpływem tego co doznała).

Kochana Mamo, zaledwoś nas opuściła, (całuje

dziadka i babunię w rękę! przepraszam, przepraszam kochaną Babunię i Dziadunia, ale taka jestem pomięszana i pod takim smutnem wrażeniem, bo jak Mama od nas odeszła, to przybiegł zadyszany Mateusz, mówiąc, że siostra umierająca i ksiądz dysponuje ją na śmierć!.. My pobiegły tam czempredzój, dowiedziałyśmy się na miejscu, że mąż téj biedaczki poległ wczoraj w bitwie!.. O, Boże! trudno opisać tę rozpacz, okropny był to obraz! (zasłania sobie rękoma oczy.) Krótki odech zatrzymywał jój mowę!.. była konająca!.. korzystając z wolniejszój chwili, zaledwo zdołała wymówić „panienko... już nie mam męża... Dzieci sieroty... matka niewidoma... o! święta panienko... pamiętaj o nich.“ Chciałam jój głowę podnieść... a ona w téj chwili na mym skonała rękę. (Marya tuli głowę na matki ramieniu i płacze.)

JENERAŁOWA.

Pocziwe dziecko moje, Bóg Ci to wynagrodzi.

PANI PODCZASZYNA

(kiwa ręką na dzieci, żeby przyszły do niój.)

Chdźcie tu, dziatki moje, chodźcie, dam wam pierniczków (głaszcze je po twarzy i wyjęta z kieszeni pierniczki, które dzieciom daje).

JULJA

(prowadzi niewidomą).

Tutaj, tutaj moja kobiecinko!

STARUSZKA.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

WSZYSCY.

Na wieki wieków. Amen.

DZIECI

(ujrzawszy babkę, biegną i tulą się do niej).

Babusia, Babusia!

STARUSZKA

(klaniając się ręką do dzieci).

Jaśnie wielmożni, najjaśniejsi państwo, niech to nie będzie z urazą (i znowu się klania) bo my ledwo co widzimy, oczy wypłakane!.. Wszystkich Bóg zabrał!.. (wyciera łzy fartuchem) Poco to człowiek żyje, kiedy córka i zięć w grobie.

PAN PODCZASZY

(wstał i klepie po ramieniu staruszkę).

Bóg was ciężko nawiedził, moja Babusiu, ale nie trzeba mu zazdrościć, dalszcie Panu Bogu to, coście mieli najlepszego!

STARUSZKA

(placze).

Ona była taka święta, jak te święte na obrazkach

PAN PODCZASZY.

No, widziecie kobiecinko, Pan Bóg Wam dał znowu dwóch aniołów, którzy będą was karmić i pielęgnować. Chodźcie za mną, to Was dobrze teraz umieszczę. (Julja wyprowadza staruszkę, a Marya dzieci i wychodzą.)

SCENA IV.

PANI PODCZASZYNA — JENERAŁOWA później
ALFRED i MALWINA.

JENERAŁOWA
(całuje rękę matki).

Widzi Mościa Mamunia Dobrodziejka, jakie pocziwe dzieci, ani im rybołostwo, ani towarzystwo w głowie, z pomocą Boską i Babuni ziarno cnoty i miłości w nich zasiane, już się w piękny kwiat rozwinęło; doczekamy się może tego, że jak burze świata listki rozwieją, to znowu zostanie dla wnuków to nasienie, co babunia zasiała!
(Całuje matkę w rękę.)

PANI PODCZASZYNA.

Moja ty kochana urjańska perelko! (głaszcze ją i całuje w czoło.) My biedne matki i babki jesteśmy, można powiedzieć, pierwszem wychowaniem dziewcząt; jesteśmy tą oranżeryą, co hoduje kwiatki ciepłem swego serca, osłaniamy później skrzy-

dłami od zarazy, popsucia i zimnego prądu, jaki wieje z wielkiego świata. Ale cóż to pomoże (porusza głową), jeżeli taki nieskalany niczem anioł dostanie się od razu pod opiekę takiego męża, co drugie wychowanie zaczyna od popsucia zasad, oziębienia wiary i tą trucizną wytępia i zatrzuwa wszystko, cośmy zasiały!..

MALWINA

(wchodzi z bratem niespodzianie, w eleganckim rannym ubraniu).

Przepraszam łaskawe panie, że tak wpadam bez meldowania, pozwalam sobie to *en voisine*, z powodu żalu i niepokojów, których doznajemy. (Alfred kłania się z uszanowaniem — Malwina podaje rękę.)

PANI PODCZASZYNA.

Jakie to żale i niepokoje dają nam sposobność widzenia łaskawych sąsiadów? Żyjemy w czasach tak pełnych zdarzeń, że wszystko straszyć może!

MALWINA.

O! nie, nie! ja wcale nie mam na myśli terazniejszych politycznych konfliktów, ani też les *événements belliqueux*, broń Boże! Grâce à Dieu nie jesteśmy wmieszani do nich!

ALFRED.

Pani Dobrodziejko, tu idzie tylko o dyspary-

cyję pięknych Świtezianek, elles nous ont fait faux bon, dezertowały tak raptem z naszego obozu.

JENERAŁOWA.

Łaskawy Hrabio, bo one mają swoje obozy, które wymagają dopełnienia obowiązków. Najprzód obóz sierót i chorych, potem obóz, w którym brat służy. Dziś właśnie gotujemy posyłkę chorągiewek i szarpi razem z piękną chorągwią, którą same haftowały dla czwartego pólku ułanów.
(Wskazuje ręką.)

PANI PODCZASZYNA

(biorąc szarpie do ręki).

To jest nasza robota, bo my starzy niczem innem przysłużyć się nie możemy ojczyźnie.

MALWINA.

Tout cela est charmant et tres édifiant, ale przyznaję się łaskawej Pani, że tego pielęgnowania po chatach Mama nam nigdy nie pozwalała. Najprzód bardzo jest niebezpieczne, potem c'est si sale! Przecie mamy, comme ouvres de charité, wszystkie kwesty po kościołach, loterye, wenty, które mają podwójny awantaż, on fait du bien et on deploie ses charmes, a łaskawej Pani Podczaszyny wnuczki mają się czem pochwalić.
(odwraca się do balkonu) Ale otóż one właśnie idą!

PANI DCZASZYNA

(już była się podniosła i mówi do córki).

A widzisz jakie to zasady, ja ich już mam dosyć i odchodzę!

JENERAŁOWA

(biorąc matkę pod rękę).

Ja Matkę Dobrodziejkę odprowadzę.

PANI PODCZASZYNA

(kłania się gościom).

Żegnam szanownych sąsiadów, idę zobaczyć jak moje wnuczki umieściły nowy inkwaterunek. (odchodząc spotyka Julję i Maryję) Kochane aniołki, właśnie idziemy z Matką lustrować Waszę załogę, czy dobrze rozkwaterowana.

MARYA

(całuje rękę babki).

Bardzo się cieszę, że Babunia zobaczy nowe mundury. (Pani Podczaszyna z Jenerałową odchodzą.)

SCENA V.

ALFRED — MALWINA — MARYA i JULJA.

ALFRED

(żywo mówi do Maryi).

Co to wszystko znaczy? Jaki inkwaterunek?

Jaka załoga? Jakie mundury? (Marya i Julja śmieją się).

JULJA.

Nie taka załoga, nie takie mundury o jakich Pan Hrabia myślisz.

MARYA

(smutno).

Są to ubogie dziecieczki, które przed godziną Pan Bóg osierocił a matka, umierając na naszych rękach, oddała nam pod opiekę.

ALFRED

(zadziwiony).

Jakto i Pani tam sama była?

MARYA.

Właśnie nas zawołano do tego smutnego obowiązk, kiedy zabawa rybołówstwa cotylko się zaczynała, (smutnie), ale przyzna Pan Hrabia, że takie przyjemności mogą się powtarzać porusza głową i mówi z uczuciem), ale śmierć... śmierć raz tylko wydziera sierotom matkę?... (Zasłania oczy rękoma) Okropny był to widok... Szczęśliwe jesteśmy, że choć trochę pociechy w tej ostatniej chwili mogliśmy tym biedakom przynieść?...

ALFRED

(pod wrażeniem tego opisu mówi do siebie).

C'est innoui, to musi być nadludzka siła du-

szy! albo anielska dobroć, car c'est trop cela!...
Ona w swój mowie miała coś natchnionengo, nad-
ziemskiego i widać było, jak głęboko czuła tę
boleść chociaż nie swoją. (Zamyślony.)

MALWINA

(zdejmuje rękawiczki i kapelusz, kładzie je na stół, potem
bierze szarpie do ręki i siada).

Spróbuję i ja tej filantropijnej zabawki.

JULJA.

To jest ulubione zatrudnienie babuni i dzia-
dunia.

ALFRED

(do Maryi).

Głęboko zamyśliłem się nad tem, co Pani
powiedziałaś i wyznać muszę otwarcie, że ja nie
mam tyle odwagi co Pani.

MARYA.

Jakto Pan Hrabia rozumiesz? o jakiej odwa-
dze mówisz? (mówiąc zbliżyła się do kanapy, gdzie
leżały chorągiewki, siada i składa jedną po drugiej na
swoich kolanach, hrabia odłożył kapelusz i laseczkę na
krzesło, poczem usiadł przy Maryi).

ALFRED.

Mówię o odwadze chodzenia do konających,
zdaje mi się, że na to trzeba mieć powołanie ka-
płańskie albo nadludzką siłę moralną!

MALWINA

(rzucza szarpie).

Wiesz Julciu, to nie jest przyjemna zabawka, ja wolę inną. (Wyciąga pudełko z cygarami z których jedno zapala).

MARYA.

Myli się Pan Hrabia, bo nie trzeba ani jednego ani drugiego, trzeba tylko serca i miłości bliżniej. (Hrabia podaje jej chorągiewki.)

MALWINA

(do Julji).

A czy tu wolno palić?

JULJA.

Obcym wolno, ale nam Babunia i Mama palić cygar surowo zakazały.

MALWINA.

Kochana Julciu, tak solennie zawsze mówicie o zakazach waszój Matki i Babki, jakby one były Bożem przykazaniem.

JULJA.

Dla nas istotnie są niem, bo każdą ich radę uważamy za ewangeliczną prawdę, która nas tylko do dobrego prowadzić może.

MALWINA.

C'es tsi beau, que c'est éffrayant! Idźmy lepiej na balkon, może dym jest rzeczą naganną dla nowego czy tam starego testamentu! (Odchodzi i siadają przy drzwiach na ławeczkach).

ALFRED.

Pani przed chwilą mówiłaś, że do tak smen-tnych i przykrych obowiązków trzeba mieć w sercu miłość chrześcijańską. A jeżeli kto ma całe swoje serce... (zatrzymuje się biorąc za serce) zajęte inną miłością, to wtenczas niepodobno dwom panom służyć?!

MARYA.

Nie rozumiem Pana pod tym względem. Ja kocham Babunię, Mamę, Dziadunia, Julcię, Zdzisława a jeszcze mnie coś porywa (mówi z zapalem) ilekroć ratunku i pomocy mojej potrzebują albo ojczyzna, albo bliźni, którym mogę w czemkolwiek ulżyć!

ALFRED

(mówi z ożywieniem).

O! ja o takiej miłości nie mówię, ja mówię o tój, która ogarnia wszystkie zmysły człowieka razem, w której się nie więcej nie słyszy! nie widzi! i nie czuje, tylko to, co pochodzi od jednej i tój samej istoty!... (Mówi z powiększonym

zapalem i patrzy namiętnie na Maryję). Która to istota uszlachetniając serce i duszę unosi je tam, gdzie dopiero poznaje co jest piękne i co jest święte!... Taka miłość jest dla człowieka tu na ziemi życiem albo śmiercią!... Dla niej chętnie się przez wszystkie poświęcenia i ognie tego świata przeszło, byleby poza niemi raj szczęścia i nieba osiągnąć!...

MARYA

(po chwili namysłu).

Niech się Pan Hrabia nie dziwi, że muszę zebrać myśli nad tem, coś powiedział. Tyleś położył wagi na jednej istocie, tak ta istota ma mieć wielki wpływ na Twoje serce i Twoją duszę, że to chyba może być sam Stwórca! (unosi oczy w górę) albo, co najmniej, jakaś święta, któraby godną była wzniecić te wyższe uczucia!...

ALFRED

(z rozczerwieniem).

O! ma Pani słuszność! święta! Ale są święte na tej ziemi, które się za takie nie mają choć mogą wzniecić wszystkie te uczucia razem, i to nawet w zimnych i skamieniałych sercach! Pani mnie nigdy nie chcesz zrozumieć, gdy mówię, że ja taką świętą znalazłem i, że serce pełne zwątpienia i niewiary, którego żaden czysty ogień nigdy nie rozpałił!... dziś!... dziś przez tę niewiastę... gdzież tam niewiastę... przez dziecko raczej,

może być nawróconem i zbawionem! (W zapale wziął ją za rękę, Marya przerażona wstała z kanapy i siadała u stolika, cała pomieszana, biorąc szarpie do ręki, Alfred stanął przy niej.)

MARYA.

Dawnom nie powinna była słuchać, co mi Pan Hrabia mówisz. Najprzód że po części tych wszystkich uczuć nie rozumiem, bo nigdy o nich nie słyszałam; potem choć nie rozumiem, przeczuwam, że jest w nich rodzaj bluźnierstwa! Pan za wysoką wagę kładziesz na uczucia i szczęście tej ziemi. Usilnie proszę Pana Hrabiego, odtąd o tem wszystkim już ze mną nie mówić, bo ja czuję się w obowiązku powtórzenia tego wszystkiego mojej matce.

ALFRED
(z pospiechem).

O! i owszem, jeżeli Pani każe i raczysz mnie upoważnić, sam już miałem chęć mówić z panią generałową o moich głębokich uczuciach a dziś stanowczo oddam w jej ręce całą moją przyszłość!

MARYA
(podnosząc ramiona).

Kazać nie mam prawa, rozkazywać wogóle nie umiem, dotychczas uczono nas tylko słuchać! Do dawania upoważnień nie mam żadnej powagi, zależę całkiem od rodziców. Pan Hrabia jesteś

wolnym, możesz w tem wszystkim robić jak Ci się podoba! (Kłania się i zbliża do balkonu.)

ALFRED

(niezmiernie pomieszany).

Co ja powiedziałem? ... co to ja powiedziałem? ... (bierze się ręką za czoło) Miotany jestem takim nieznanem mi uczuciem, że sam się nie poznaję! ... (Robi kilka kroków w prawo i lewo). Jakaś nowa siła mną rządzi! ... jakaś ciemność i obojętność rozłącza mnie z moją przeszłością! ... jakiś blask i pociąg porывa w nieznanie upojenie! ... Czy to być może, żeby takie dziecko?! ... Jednakowoż, czuję, że od czasu, kiedy ją bliżej poznałem, jakiś mnie ogarnął niesmak a nawet obrzydzenie od dawnego mego życia! ... Nie mogę wytrzymać w domu, wymyślam co mogę, żeby ją widzieć! Gdy nie widzę jestem błędny! Gdy widzę, równie jestem jak błędny i czuję, że ona ze mną jak z człowiekiem, co jest w letargu, wszystko mogłaby teraz zrobić! ... Walczę dawno ze sobą, ale dziś już stanowczo i z odwagą wyznam wszystko matce! ... (Malwina, Marya i Julja wchodzą do pokoju, pierwsza bierze kapelusz i rękawiczki, hrabia również bierze laseczkę i kapelusz.)

MALWINA

(do Alfreda).

Co Ci to Alfredzie? jakiś jesteś pomieszany?

Widzę, że byłbyś złym aktorem, bo byle co tobą miota, a już nie umiesz ukryć tego na twarzy!

MARYA
(do Julji).

Moja Julciu, mam Ci coś ważnego do powiedzenia.

ALFRED.

Ach! mylisz się siostrze, mówią „byle co!“ (porusza głową na znak negacyi). To nie jest byle co, moje położenie podobne jest do tego, co stoi w pojedynku i czeka, czy mu za chwilę serca nie przeszyją!...

JULJA
(z zadziwieniem).

Co to wszystko znaczy?

MALWINA
(lekko).

Kiedys w takim tragicznym usposobieniu, to idźmy się przejść na chwilkę do parku! (Zabierając się do wyjścia spotykają generałową we drzwiach).

MARYA
(całuje rękę matki).

Jeżeli Mama pozwoli, odprowadzimy Panię Malwinę do powozu, co stoi pod parkiem?

JENERAŁOWA.

A owszem, życzę miłej przechadzki.

ALFRED

(pomięszany, mówi do siebie ale tak, żeby go Marya słyszała).

To ja teraz zostaję. (głośno) Za chwilę będę służył Paniom! (zostaje, stojąc nieśmiało przy drzwiach).

JENERAŁOWA.

A Pan Hrabia nie idzie z temi Paniami?

MARYA

(odchodząc ostatnia, mówi z przerażeniem).

O! Boże! on już teraz będzie mówił z Mamą!
a ja sama nie wiem jeszcze, co się ze mną dzieje?

SCENA VI.

JENERAŁOWA i ALFRED.

ALFRED

(nieśmiało.)

Nie poszedłem z temi paniami, bo chciałem prosić Panię Jenerałową o krótkie posłuchanie!

JENERAŁOWA

(do siebie.)

Jakiś mnie niepokój ogarnia i serce mocniej bije! (do hrabiego) Owszem, owszem, proszę siadać (siadają na fotele, jenerałowa do siebie.) Ja już dawno coś przeczuwałam.

ALFRED

(zawsze nieśmiało.)

Daruję mi z pewnością pani Jenerałowa moje pomieszczenie, gdy się dowiesz o celu méj rozmowy, ale nie wiem, czy mi pani darujesz śmiałość i odwagę mojej prośby?..

JENERAŁOWA.

Pan masz prośbę do mnie?

ALFRED.

I wielką, łaskawa Pani!.. Odwołuję się do dobroci i czułości niewieściego serca, żeby zrozumiało i uwierzyło, że dziś moje serce potrafiło się wznieść do téj wysokości, gdzie tylko czysta i święta miłość panuje. Niech zacna Pani zechce mi uwierzyć, że od chwili, kiedy poznałem tyle cnót w jéj córce!.. ja, dawny niedowiarek, co dzień klękam przed Stwórcą, żeby mi takiego stróża anioła przeznaczył, a teraz klękam przed Tobą Pani, (składa do prośby ręce) niech tym aniołem będzie dla mnie panna Marja!..

JENERAŁOWA.

(do głębi wzruszona),

Raptowne i niespodziane to zeznanie Pana Hrabiego odejmuje mi chwilową przytomność. (bierze się ręką za czoło) Chcę wierzyć w szczerość uczuć, które moja córka mogła wzniecić w Tobie Panie, ale nie mogę na nie odpowiedzieć, dopóki nie zasięgnę rady całej mojej rodziny i córki!

ALFRED

(całuje rękę jenerałowej.)

Szanowna Pani masz w swojej ręku zbawienie, albo potępienie tego, którego przed sobą widzisz! Bóg i Panna Marya natchnęli mnie świętem uczuciem, a wchodząc na drogę enoty całe me życie poświęcę, aby ją uszczęśliwić!

JENERAŁOWA.

Proszę pana Hrabiego o kilka godzin namysłu, mam nadzieję, że Bóg natchnie nas szczęśliwym postanowieniem, a jakiegokolwiek ono będzie (podaje mu rękę, którą Alfred całuje) dzisiaj jeszcze piśmienie doniosę Panu Hrabiemu.

ALFRED.

Całe moje szczęście składam w ręce Pani Jenerałowej. (Kłania się i odchodzi.)

SCENA VII.

JENERAŁOWA sama, potem PANI PODCZASZYNA i
KANONIK.

JENERAŁOWA
(mocno pomieszana).

O, Boże! co za piorun niespodziany! nie mogę
przyjść do siebie!. Nie nie wiem czy Marynia
będzie mu życzliwą, ona taka młoda, że sama ze
swojami uczuciami nie będzie umiała się obracho-
wać! (wchodzi zwolna pani Podczaszyzna prowadzona
przez brata kanonika).

KANONIK.
Prowadzę jutrzejszą jubilatkę!

JENERAŁOWA
(całuje matki rękę).

Kochano Mamo Dobrodziejko!

PANI PODCZASZYNA.

Cóżes Ty taka pomieszana? Zdaje mi się na-
wet, że Ci się ręce trzęsą? (trzyma rękę jenerałowej
w swoich).

KANONIK.
Oho! i łzy w oczach! Cóż to takiego?

JENERAŁOWA

(pomieszana).

Kochany Wujaszku Dobrodzieju, powiedzia-
łabym zaraz i powiedzieć muszę, ale boję się
Mamy Dobrodziejki! (całuje matkę w rękę).

PANI PODCZASZYNA.

A czy to Mama jest strach na ptaki?

JENERAŁOWA

(wahając się).

W téj chwili... hrabia... Alfred oświadczył
się i prosi o rękę naszej Maryni!

KANONIK

(wesolo).

A to nie widzę czego płakać?! To przecie
nie jest nieszczęście!

PANI PODCZASZYNA

(żywo).

Otóż, on jest strach na ptaki, bo strach pra-
wdziwy dla naszej ślicznej gołąbeczki!

JENERAŁOWA

(całuje rękę matki).

Mamo, co tu robić?

PANI PODCZASZYNA

(żywo obracając głową).

Mnie się nie pytaj, bo ja bym z góry krótko i węzłowato moje zdanie powiedziała!

JENERAŁOWA

Ja nic o tem nie powiem Maryni, póki my wspólnie nie postanowimy, coby mogło być złe a co dobrze? Czy odmówić, czy przyjąć?

KANONIK

(grozi palcem).

O! nie grzeszcie, nie grzeszcie moje dzieci, co Bóg dał, to bierzcie!

PANI PODCZASZYNA.

Nie wiedzieć co Asindzi bratunio mówi, Aść nie wiesz, jaki to bezbożnik, jaki rozpustnik, co to za życie jego! Aktorki! Mężatki! niech Bóg broni co mówią... (bierze się rękoma za głowę).

KANONIK

(kiwa ręką na znak uspokojenia).

Natoś siostró dobrodziko aniola wychowała, aby go nawrócił. Pan Bóg zawsze tak dobiera, daje pocziwych i świętych tam, gdzie trzeba przykładu i naprawy!. Nie ma czego kaprysić i nie trzeba odmawiać!

PANI PODCZASZYNA

(rozdrażniona).

A ja Asindzi mówię, że ona go nie nawróci, a on ją popsuje, będzie ją Aś miał na sumieniu, jak nie będzie szczęśliwa! Ja już znam dobrze tę turkaweczkę, oni ją zagniotą jak robaka, a wszystko co było nasze pójdzie w las!

JENERAŁOWA

(całuje matkę w rękę).

Kochana Mamo Dobrodziejko, idźmy jeszcze do Papy zasięgnąć jego rady, potem i Marynię sprowadzić musimy, a wuj i kanonik westchnie jeszcze, żeby Bóg jego usta przemówił!

PANI PODCZASZYNA

(podaje rękę kanonikowi).

Już mi to Asindzi nie wyperswaduje, żeby popsuty młokos umiał żonę drogą cnoty prowadzić! (Wszyscy wychodzą).

SCENA VIII.

MARYA i JULJA później JOLANTA.

JULJA.

Rozumiem kochana Maryo Twoje niepokoje i pomieszanie, hrabia Alfred istotnie posiada

wszystkie warunki, jakie wielkiemu światu mogą się podobać, ale... ale...

MARYA.

Otóż to te „ale!“... (zamyślona) Ale ja go się boję!... On mnie już dawno obsypuje gradem komplementów, a teraz znowu wynurzeniem jakichś dziwnych uczuć i zapalów, które mi więcej sprawiają przerażenia, niż przyjemności!

JULJA.

Biedna moja Maryniu! a wieleż to kobiet zazdrościłoby Ci tych wyznań i Twego dzisiejszego położenia!

MARYA

(Biorąc Julję w pas).

Ja, kochana Julciu, gdybym pragnęła być kochaną, chciałabym, żeby mnie tak kochano, jak Ciebie mój brat kocha!

JULJA

(z rozczeniem).

O! tak moja droga, nasze życie jest złączone, jak dwa kwiatki w jednej doniczce wyrosłe! Nasza miłość, to jak dwa czyste źródła, które obok siebie cicho płyną i gdzieś tam łączą się razem w jeden bieg i to na wieki!... Nasze uczucia i pragnienia są tak jednakie, że nie potrzebujemy

słów, żeby jedno wiedziało co drugie czuje i czego pragnie. (z zwrastającym zapalem) Wiem i mam przekonanie, że później w ściślejszym związku w dwóch naszych sercach jedno tylko będzie bicie!...

MARYA

(z rozczeniem).

O! niech Ci go Pan Bóg szczęśliwie przeprowadzi przez tę niebezpieczną choć chluby pełną drogę, żeby z pod sztandaru ojczyzny powrócił Ci pod strzechę domową a później podpierał na trudnych i krętych drogach naszych niewieścich obowiązków. (Całuje Julję; służąca wchodzi.)

JOLANTA.

Pani generałowa i pani Podczaszyna proszą pańienki do siebie, bo jakieś są ważne sprawy.

MARYA.

Idziemy, idziemy, o mój Boże! to pewno te o których cotylko mówiłyśmy. (Wychodzą.)

SCENA IX.

JOLANTA później SYDONIA.

(Jolanta chuda, niemłoda, skromnie ubrana, Sydonia świeża, młodsza, ubrana pretensjonalnie ma kapelusze i parasolkę.)

JOLANTA

(porusza głową).

Coś się tam u nas dzieje! Niech się dzieje co się dzieje, byleby było na chwałę Panu Bogu! Wszyscy zebrali się na jakąś radę... tyle tam świętych dusz, miejmy nadzieję, że duch święty ich natchnie!

SYDONIA

(wchodzi na palcach, ogląda się w koło i spostrzega Jolantę).

A to właśnie chciałam widzieć pannę Jolantę, samą, nie wejdzie tu kto teraz?

JOLANTA

(mówi do siebie).

A co też przyprowadziło do nas tę francuzkę? (głośno do Sydoni) Myślę że nikt, bo państwo mają jakąś familijną naradę, są w pokoju pana Podczaszego, gdzie jest nawet ksiądz kanonik.

SYDONIA

(mówiąc zawsze żywo i namiętnie).

A ja Ci powiem, ma mignonne et adorée sainte Jolante, że ja wiem jakie to są narady i po to właśnie przyszlłam, żeby Ci powiedzieć, abyś przestrzegła swego archanioła, aux ailes blanches, że nic z tego nie będzie, nikt inny w Zaborolu nie będzie rządził tylko ja! wskazuje ręką na siebie) Pas si bête, jak tam stoi w waszem

piśmie świętem, ja niesprzedam moich praw starzeństwa, pour une poignier de lentille!

JOLANTA

(spokojnie).

Ja wcale nie rozumiem pani o co jój chodzi? ja się nigdy nie wdaję w narady mojego państwa, jedno co robię, to jest to, że się modłę, aby Bóg szczęśliwie ich natchnął!

SYDONIA

(z niecierpliwością podnosi oczy i ramiona do góry).

O! quelle est bête, comme une cruche, il faut lui dire carement la vérité, otóż powiem pannie Jolancie, że pan Janusz, co nic nie ma skrytego przede mną, powiedział mi, że naszego pana hrabiego łapiecie do waszych panien, a ja wiem dobrze, że on wcale nie potrzebuje żony! nie potrzebuje nikogo, mój mąż jest kamerdynerem, jak drugiego niema, wszyscy wiedzą, że był u marszałka Brońca i u księcia Zajączka. (na boku) Ce qui ne l'empêche pas d'être un imbeciele et un cornichon. Mówię Pani, że ja rządę wszystkim i wszystkimi i to jeszcze, à la baguette, (i pokazuje mimiką, okręcając parasolik.)

JOLANTA

(spokojnie.)

Przecież i mnie moi państwo oddali zarząd domu, a ja właśnie bardzobym sobie życzyła, żeby

pan Zdzisław chciał się żenić i, żeby nam młoda pani pałac rozweseliła!

SYDONIA.

Quelle poule moullée! moja panna Jolanto, najprzód u nas wcale nie smutno, tu, to co innego, bo zupełnie jakby w klasztorze, u nas nikt nie rządzi naszymi czynami i nie dysponuje sumieniem i dla tego wszyscy szczęśliwi; tak, tak, moja święta panno Jolanto! (klepie ją po ramieniu, potem mówi na boku) Mais á vrai dire, quand on rés femble á un levrier malade, on peut commencer á être sainte.

JOLANTA

(do siebie,)

A! to tam musi być pięknie! A to gniazdo farmazonów! ja już tego nie chcę ani widzieć, ani słyszeć! (zatyka sobie rękoma uszy, potem odwraca się do Sydonii) Moja Pani, co tam jest, to jest, ale zawsze najlepiej oddać to woli Bożej.

SYDONIA

(z determinacyą).

A jak Pan Bóg nie chce tak, jak ja chcę? (Jolanta podnosi ramiona do góry, na znak, że już nie wie co odpowiedzieć) Tymczasem ma pani rację, ja początkowo przyszedłam to powiedzieć z determinacyą, że albo ja, albo wasza pani będzie panią... ale po dojrzałym namysle, widzę, że nie

ma gwałtu, mogą być i dwie panie, jedna święta, druga nie święta! Powiedz téj twojej, ma toute belle, (bierze ją ręką pod brodę) jeżeli chce być koniecznie świętą, to my się już o to postaramy, nous saurons la canoniser! (kłania się ręką przesadnie) Au revoir! Adieu! (Odchodzi).

JOLANTA

(ogląda się za nią).

A to dopiero czarownica! a to jędza z paryzkiego piekła! a cóż ją też tu za Lucyper przyprowadził!.. Ja nikomu nie powiem o téj wizycie. (kładzie dwa palce na usta.) „Jestto cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.“ (Odchodzi.)

KONIEC AKTU I.

AKT II.

SCENA I.

(Teatr reprezentuje salon z widokiem na ogród, trzy są duże, otwarte drzwi czyli arkady, na obszerny balkon, w ogrodzie widać kościół; w salonie kanapy, fotele po bokach, środek sceny próżny, ogrodowezyki opinają girlandy, przynoszą bukiety do wazonów, stary służący we fartuchu zamiata.)

JAKÓB, służący — OGRODOWY z Zaborola —
KUCHMISTRZ, wesół i jowialny — Młody SŁUŻĄCY
— i ROZALIA.

JAKÓB
(do ogrodowezyków).

Śpieszcie się, śpieszcie chłopaki, bo to będzie dzisiaj dubeltowy kiermasz... tutaj coś się dzieje... już ja tu coś wytropiłem... stary sługa, to jak stary wyżeł, zaraz zwierzynę poczuje... (zamiata i chwilami przy mówieniu staje.) Bodajnie piękny jeleni przeleciał przez naszą granicę i w tutajszą łapkę się złapał! (śmieje się głośno).

ROZALIA

(niesie na tacy szklanki z wodą i flaszeczkę z kroplami pomarańczowemi).

No, Jakóbie, komotrze, jak się tam dziś spało?

JAKÓB.

A co to tam panienka niesie? ja muszę wszystko wiedzieć!

ROZALIA.

Krople z pomarańczowych kwiatów, doskonałe lekarstwo na osłabienie nerwów.

JAKÓB

(bierze flaszkę i wacha).

Pfe! to takie mdłe! na osłabienie to najlepsze te krople z Gdańska, (pokazuje palcami) co to tak w nich lata i pływa złotko, te nie są mdłe i zaraz się człowiek czuje na nogach!

ROZALIA

(śmiejąc się, klepie go po ramieniu).

Albo też zostanie bez nóg i bez głowy! ale co się tam Jakób zna na nerwach, to nowe słowo wymyślili bardzo mądrzy ludzie, a teraz muszą do niego wyszukiwać choroby! Rozumie Jakób?

JAKÓB

(kręci głową).

A niech mi też panienka powie, gdzie siedzi ta nowa choroba?

ROZALIA.

To tak różnie, czasem w głowie, czasem w sercu drga i bije, a ja dawniej miałam jedną panię, co miała tę chorobę w prawym ręku. (śmieje się.)

JAKÓB

(kiwa głową).

A to dziwne... moje jaśnie panie i pani podczasyna, nigdy za mojej pamięci nie chorowały na te „narwy“!

ROZALIA.

Widzicie mój Jakóbie, dawniej, jak my nie byli cywilizowani, to było inaczej, kiedy była jaka pani niecierpliwa, to my trzasnęli drzwiami a za drzwiami powiedziało się „a niech ją tam nie znam, co za chimeryca“ albo jak były kaprysy i złości, to w garderobie aż grzmiało od wrzasku, jedni mówili „a niech ją tam jasne“... drudzy „a niech ją tam wszyscy“... ale teraz to inaczej, to właśnie wtenczas musimy mówić „cicho, cicho, bo jaśnie pani dziś bardzo nerwowa!“

JAKÓB

O! nasze panie to nie takie, to je Bóg prosto z nieba nam zesłał!

ROZALIA.

To prawda, prawda, bo one się tylko modlą

i płaczą, dzisiaj to całą noc tak było, czy wy wiecie Jakóbie, że wczoraj wieczorem to była wielka narada, wszyscy państwo razem pisali!

JAKÓB
(zdziwiony).

Jakto? wszyscy razem pisali?

ROZALIA.

Głupstwa gadacie! oto conceptów dodawali, wszyscy, potem zaniósłam list do stajni i Walenty na siwce pojechał do Zaborola, a na liście było napisane „a musje, musje kont Oliński“ a potem wszyscy posli w kąty i okropnie płakali. (słychać dzwonek) Idę, idę! (odchodzi).

JAKÓB
(kiwa głową).

Bo też te nasze panie, to o byle co płaczą, nieraz jak kogo witają płaczą, jak co czytają płaczą!... a bywało nawet, że śpiewają przy fortepianie i jak Boga kocham znowu płaczą... (kiwa głową) Ta moja... to tylko płacze, jak kapusta zmarznie, jak kura na jajach zdechnie... to już jest czego płakać i taka ją mangolja weźmie, że ani śpi, ani je; a jak dopiero krowa zachoruje, to koniec świata!... to się wszyscy na wszystkie strony rozlatują!... dzieci muszą klęczeć i modlić się, świeczki u wszystkich obrazów

muszą się palić! babusia gotuje święcone zioła na kominie, chłopiec leci do księdza proboszcza, ho! ho! ho! co się to dzieje! ale nasi jaśnie państwo, to nie nie robią tylko płaczą i tak sobie nie umieją dać rady jak my. (Kucharz przebiega z rądlami w ręku, za nim panna Jolanta z pękiem kluczy, potem kawiarka z kawą na tacy.)

OGRODOWY

(wchodzi z bukietem, który później kładzie na stół, uderza Jakóba niespodzianie w ramię).

Jak się macie, panie bracie i komotrze dobrodzieju?! Wielka nowina nad nami wisi (pokazuje palcem w czoło) „mądrzej głowie dość dwie słowie.“ Oto nasz pan hrabia kazał mi zrobić bukiet (pokazuje) z samych pomarańczowych kwiatów i to dla waszej panny jenerałowny!

JAKÓB.

A to jak Boga kocham, właśnie te same kwiaty, co mówiła panna Rozalia, że są bardzo dobre na tę nową chorobę, co się nazywa „narwy“ jak tylko się kto zmartwi, albo rozgniewa, to podobno zaraz jój dostaje, a wtenczas trzeba to ziele pić.

OGRODOWY

(śmieje się).

No, to u nas ta choroba dziś panuje, bo istny sądny dzień i koniec świata! tyle krzyku, tyle

wrzasku robi francuzka, dobrze, że mąż schował się aż do sklepu, bo byłby z pewnością oberwał, pan hrabia chciał jęć grubo zapłacić i odesłać, ale gdzież tam, to wielkie jest komoterstwo z panem Januszem i on wyperswadował, że bardzo potrzebna, bo niby taka młoda pani... to wy wiecie... (podnosi ramiona) jakto powiedzieć?... z początku (mówi do ucha) jest, krótko powiedziałwszy, gapa i nic nie umie i niczego się nie domyśla, a Francuzka, to ma łeb na karku i ciągle coś tam szwargotała i powtarzała, że ona to nie jest „bet“ lecz wasza pani, to jest „bet“!...

JAKÓB

(porwał się w złości).

A to proszę! jeszcze tego trzeba!... ta niecnota, ten obleci świat, ma mówić, że nasza pani jest „bet“!... ona sama stary bet!... ino ja dopadnę pręta (podnosi rękę do góry) a zacznę ją trzepać, to aż będzie się z niej kurzyć a nareszcie ją samę wykurzę, jeżeli się mojej pani nie umknie z drogi!

KUCHARZ

(wraca z rądlami, bierze Jakóta w pas i ciągle wesóło mówi).

No, Jakóbie, dziś będziemy mieli w czubie, bo dziś nie czernina! ale zato dawaj wina! dzisiaj będą szodony, galarety i pasztety!

OGRODOWY

(na boku).

O! co pasztety, to pasztety!

KUCHARZ

A widzicie, przyjacielu, kiedy w sercu radość! to wszystkiego musi być za dość! jakto kiedyś bywało u księcia Zajączka jak my byli razem z Ćwikłowskim, człowiek brał a brał, co tylko chciał, a francuzice o nic się tam nie pytały.

OGRODOWY.

A prawda, prawda, pan kuchmistrz znał naszą jaśnie panią Ćwikłowską!

KUCHARZ.

I jak znałem!... i mnie też ten sam honor (kłania się beretem) miał spotkać, co pana kamerdynera, ale ja nie taki głupi; raz przysłała po mnie sama księżna!... ale ja już się do myślałem po co, (z energią i mimiką przebiera nogami) takiego też dałem drapaką i tak jak stałem w czwał co ducha uciekałem aż za rogatki! tam się obejrzałem dopiero, czy mnie już francuzka widzieć nie mogła i wtenczas to właśnie Ćwikielkę złapali!... A teraz komotrze (uderzył Jakóba w ramię) na pamiątkę tego strachu dawaj kieliszek wina!

JAKÓB.

Dobrze, dobrze, a pana ogrodowego poczęstu-

jemy za ten piękny bukiet i wypijemy na pomyślność tego wszystkiego, co się teraz dzieje!

KUCHARZ.

A więc na pomyślność tych co się dzisiaj kochają i biją! niech żyją!... (podnosi beret do góry i wychodzą).

SCENA II.

MARYA potem ALFRED później JENERAŁOWA.

MARYA

(cała w bieli, w rannym ubiorze, z białą różą we włosach, wchodzi wolno i spostrzega na stole bukiet, siada na fotelu).

Ach jaki śliczny bukiet! (ogląda) same pomarańczowe kwiaty, czyjaby to była myśl? O! mój Boże.... to pewno już on!... co ja pocznę, jak go obaczę?... co się ze mną dzieje?... wczoraj wszystkie głosy były za nim, jedna tylko kochana babunia była przeciwną!... Cóż miałam robić?... nie mogę powiedzieć, żeby miałam wstąpić do niego... przemodliłam i przeplakałam noc całą, a teraz jakoś mam więcej odwagi!... Czuję jakiś spokój, co mnie ogarnął, jakżeby sam Pan Bóg wlał w moje serce jakąś życzliwość i jakieś nieznane uczucie, które zdaje się mówić „on tobie jest przeznaczony“... Ale, ale, o Boże! (ogląda się wokoło) czy ja mam to wszystko, co tak kocham,

opuścić?! i niby na zawsze tych wszystkich, co mnie tak kochają!... to jest okropne!... (opuszcza się z fotelu i na pół klęcząco, opiera łokciami na stole, zakrywając rękoma oczy.)

ALFRED

(ścisza wchodzi i stoi przed Maryą, jakby w ekstazie... chwila milczenia, potem zbliża się do niej i klęka przed nią).

Maryo! Maryo! czyś Ty aniołem, czy kobietą? (Marya chciała powstać, Alfred ją zatrzymuje i klęcząc u jej nóg mówi) Nie! tak niech Ci podziękuję, bo tak tylko Bogu i Tobie mogę składać dzięki za tyle szczęścia, które mnie odurza i oniemia!... (całuje jej rękę, którą Marya opuściła na łonie... chwila milczenia.)

MARYA

(wstaje).

Musimy w tem wszystkim widzieć wolę Boga!

ALFRED

(stojąc w środku sceny, trzyma Maryi rękę w swoich).

Maryo!... czy to być może?! Ty będziesz moją!... czy ja mogłem o tem marzyć?... czy jestem godzien tego szczęścia?!...

MARYA

(pomieszana ale spokojna).

Tylko rodzice i Bóg mogli mi dać odwagę do stanowczego postanowienia, bo tylko w wypełnie-

niu najświętszych obowiązków znajdziemy stale i niezachwiane szczęście małżeńskie, którego Pan zapewne pragniesz.

ALFRED

(z zapalem).

O! już nie pan! ale sługa! poddany téj, co mnie na drogę cnoty nawróciła! téj, co mojem sercem będzie władać i całym życiem rządzić!.. (całuje czule Maryi ręce, w téj chwili ukazuje się za drzwiami generałowa, Alfred zbliża się do niéj i po ukłonie pełnym powagi mówi) Pani, jakimi słowy mam przemówić? ... kiedy ... wypowiedzieć nie jestem wstanie, co serce me czuje...

JENERAŁOWA

(mocno wzruszona, ale z godnością podaje rękę Alfredowi który ją z zapalem całuje).

Dziś już nie jesteś, Panie, obcym dla nas, więc bez ogródki podałam ci rękę, na której wypięstowana dozgonna Twa przyjaciółka. (generałowa i Marya ocierają łzy) Ona musi słodzić gorzkie dni Twego życia, a Ty, Panie, musisz ją wspierać mężką siłą Twego ducha, kiedy niewieścia słabość będzie potrzebowała Twojej podpory!

ALFRED

(z rozczuleniem i zapalem).

Siła duszy męskiej, kiedy jest siłą, to nią jest

tylko wtenczas, gdy od kołyski czerpała przykłady w takich zdrojach i w takich skarbach jak te co mam obecnie przed oczyma! (całuje z uszanowaniem rękę jenerałowej.)

JENERAŁOWA.

Ale mam nadzieję, że pan hrabia nie zapomni i dotrzymasz warunków, które cała rodzina nasza położyła do dzisiejszego zezwolenia.

ALFRED

(z godnością).

Nie zapomniałem i dotrzymam z największem poświęceniem i wdzięcznością, bo téj to zacnej rodzinie będę winien namaszczenie jednego z najświętszych obowiązków.

SCENA III.

(Wechodzi Pan Podczasy w galowym ubiorze z wstęgą i gwiazdą świętego Stanisława, pani Podczaszyna w jasno popielatęj sukni, w białym czepku, oboje mają mirt przy piersi.)

Ci sami PAN PODCZASZY, — PANI PODCZASZYNA,
później MALWINA i JANUSZ.

JENERAŁOWA

(całuje ręce rodzicom).

Kochana Mamo Dobrodziko i kochany Papo,

pan hrabia Zaborolski tak wcześnie przyszedł, aby jak najprędzej dostać od rodziców potwierdzenie i zezwolenie na wczorajszą prośbę, ja najuniżeniej i najpokorniej proszę Babkę i Dziadka za niego i Maryę, aby ich zamiar raczyli pobłogosławić. (Bierze za rękę hrabiego i Maryą, którzy przyklękują przed rodzicami, pani Podczaszyna nie bardzo czule i chętnie, ale błogosławi.)

PANI PODCZASZYNA.

A teraz, pamiętaj Asindzi, (grozi mu palcem) żebyś mi ją uszczęśliwił, a broń Boże nie wywoził na ten wielki i popsuty świat, pamiętaj Aśó, to co moja nieboszczka matka powiedziała panu Podczaszemu, gdy mnie oddawała temu mojemu opiekunowi. (wskazuje na męża) Otóż powiedziała: „pamiętaj młodzieńcze, że kotka i żona to do domu przeznaczona.“

PAN PODCZASZY

(ściska serdecznie hrabiego).

A ja teraz życzę kochanemu hrabiemu a przyszłemu mojemu wnukowi, żeby był tak szczęśliwy ze swoją Magnifiką, jak ja byłem przez lat pięćdziesiąt z moją!... (w tej chwili wchodzi Malwina i Janusz, który kłania się poważnie, Malwina wszystkim rękę podaje.)

MALWINA.

Pozwolą łaskawi państwo, żebym w imieniu

całej rodziny złożyła podziękowania, za względy, jakich mój brat doznał w zacnym Ich domu; będziemy umieli cenić ten klejnot oddany do naszego skarbu. (Całuje Maryą). Kochana Maryniu, niedługo bratowa i siostrzo, zapelnisz próżnię mego serca, która na Ciebie czekała!

JANUSZ

(podaje z uprzejmością rękę Maryi).

Szczęśliwy Alfred!... ktoby jego szczęścia nie zazdrościł?!

PANI PODCZASZYNA

(wyciąga flaszeczkę z święconą wodą z kieszeni, mówiąc na boku.)

Przy nich trzeba mieć zawsze święconą wodę, aby odżegnać ich myśli, ich mowy a szczególnie ich komplementa!

MALWINA

(do pana Podczaszego).

Pan Podczaszy podobno oczekuje dzisiaj wnuka? le chevalier sans peur et sans reproche!

PAN PODCZASZY.

Tak jest, Mościa Dobrodziko, jestto wielkie szczęście dla mnie, że Bóg dozwolił, moim siwym włosom doczekać wnuka, który walczy pod narodową chorągwią; dostał urlop, ale tylko na kilka godzin.

MALWINA.

Na tak krótko!

PAN PODCZASZY.

Tak, na bardzo krótko, bo co dzień nieomal
bywają utarczki koło Warszawy. Ale otóż i on!
(Zdzisław wbiega niespodzianie).

WSZYSCY.

Zdzisław!

SCENA IV.

Ci sami — JULJA — ZDZISŁAW

(w mundurze ułańskim, przy pałaszczu, z krzyżem na
piersiach, rzuca się z zapalem i całuje ręce babki i dzie-
dka, potem pada w objęcie matki i siostry, witając innych
ręką, Julja z wielkiem rozczerwieniem całuje Maryą.)

PANI PODCZASZYNA

(patrzac na Zdzisława).

Moje śliczne dziecko Bóg cię od śmieci za-
chowal!...

ZDZISŁAW

(mówi z zapalem).

Matko! szczęśliwy kto dożył, żeby to widzieć,
co ja widziałem!.. ale jak mi też serce biło, kie-
dym ujrzał z dala topole i pałac; skręcając potem

konia, wpadłem cwałem w aleję kasztanów, w szybkim pędzie zdawała mi się długą zieloną ulicą, w końcu której ujrzałem ganek, (z rozczuleniem) a na nim białą postać, która chustką powiewała! ta postać przy zbliżeniu zamieniła się w mych oczach w cudowną białą liliję, co powiew szczęścia pochylił nad gankiem, aby ręką witąć narzeczonego! (odwraca się i podaje rękę Julji.)

JENERAŁOWA.

Kochany Zdzisławie, teraz muszę ci zaprezentować drugą szczęśliwą parę, (bierze hrabiego i Maryą za rękę) która się do sankcyi brata zbliża.

ZDZISŁAW

(zadziwiony, podaje rękę Alfredowi).

Co słyszę? Alfred uwierzył, że zameście i kobieta może mężczyznę uszczęśliwić?

ALFRED.

O taka kobieta!. może uszczęśliwić! (całuje rękę Maryi.)

MALWINA.

Pan Zdzisław, la perfection en tout, dał mu dobry przykład, nous sommes des riens, des athomes, przy tak wielkich ludziach!

JANUSZ

(bierze Zdzisława w pas).

Nasz kochany Zdzisław to będzie un Thuren-

ne, un Bayard! słowem, naszym przyszłym hetmanem, następcą Chodkiewiczów i Czarnieckich.

ZDZISŁAW
(śmiejąc się).

Dotychczas zaledwo ich giermkim!

PAN PODCZASZY.

Ale powiedz nam też, kochany wnuku jakęś się to Aś dosłużył tego krzyża na tak młodych piersiach?

ZDZISŁAW.

Jeżeli Dziadunio Dobrodziej każe!...

ALFRED
(z żywością).

Dziadunio każe, a my o to bardzo prosimy.
(Damy usiadły, Janusz i Alfred stoją na środku sceny, przy Zdzisławie, opartym na pałaszu.)

ZDZISŁAW.

Zaledwo zaświtał ranek, rekonesans wysłany, zameldował w głównym sztabie, że w sąsiedniej wsi, za laskiem, gromadzi się nieprzyjaciel. Jenerał i adjutańci rozłożyli mapy; laszek był przed nami, samym jego środkiem szła szeroka, prosta droga po wsi. Jak do niej dojść, czy prosto, czy w okolo? czy bój stoczyć przed, czy za laskiem? to było ważnem strategicznem zadaniem!

Podczas tych narad, dał się słyszeć ogień tyralierów, patrole nasze zaczęły się ściągać i donosić, że nieprzyjaciel już się zbliża! Jenerał organizuje i skupia siły! adjutańci przebiegają w lewo i prawo!... już w karre batalion piechoty gęsto i ściśle ustawiony w samem centrum wojska... Wódz, lewe skrzydło rozciąga po nad borem, (pokazuje ręką) w tem nagle, niespodzianie armaty jęły!... jedna kula za drugą uderza w sam nasz środek. Nieprzyjaciel tu i owdzie weiska się do boru, chcąc uderzyć na lewe nasze skrzydło!... Niestety! armaty ustawione na samą drogę, przy wejściu do boru, przeszywają w mgnieniu oka, próżną i prostą przestrzeń, kładąc pokotem każdą występującą rotę, nie dopuszczając naszych do skutecznego ataku!.. Wódz porywa rozpacz!.. w tem, nagle odwraca się do tuż stojących ulanów i zawołał na oficerów „Panowie! kto młody, chciwy usług dla ojczyzny a chwały dla siebie! próbujcie waszjej odwagi! zabierzcie mi (pokazuje ręką) te na drodze stojące armaty!“ Wtenczas wzrok mój spotkał się ze wzrokiem Stasia Kamińskiego, (smutniój) kochany Staś mówi do mnie „Ty wiesz, że ja z Tobą w piekielny pójde ogień.“ Rozwijam niebawem podręczną kartę i widzę po prawej stronie boru skrytą drożynę, patrząc, dochodzi ona do głównej drogi, gdzie stoją moskiewskie armaty! „Bracia za mną!“ zawołałem... Oddział w jednej chwili

ruszył równym kłusem, na pierwszym zakręcie stał batalion piechoty. Bez namysłu zawołałem „Wiara naprzód! ale cicho!“ Sformowali się nagle i idąc równym krokiem las okolili... już okrażamy tył nieprzyjaciela i jego armaty, otoczone one były oddziałem pieszej artylerii. Ta zoczywszy nas zmieniła raptem front i przyjmuje gęstą salwę karabinowego ognia!.. cała pierwsza nasza linija frontowa zdziesiątkowana, (pokazuje ręką) nie było rady!.. „Na bagnety!“ zawołałem, wiara dziarsko poskoczyła!.. ale cóż, kiedy jeszcze jedną dostaliśmy salwę!.. (zatrzymuje się, mówiąc smutniej) a z téj jedna kula trafiła w pierś Stasia! (zasłonił oczy ręką) Padając z konia, zawołał „Żegnam Cię, Zdzisławie, bądź szczęśliwszy odemnie!..“

JENERAŁOWA.

I co dalej?

ZDZISŁAW.

Silnym głosem zawołałem „doktora“.

ALFRED
(ciekawie).

I cóż, czy zginął?

ZDZISŁAW.

Nie mając czasu zatrzymać się, odwróciłem

się na siodle, zapytując, „doktorze, czy żyje?“
Doktor z daleka pokazał głową, że... nie żyje...
kula ugodziła serce!

MARYA.

A więc doprawdy zginął?

ZDZISŁAW.

Szczęśliwszy od innych, bo na polu chwały,
(panie wszystkie płaczą).

JANUSZ.

Biedak! taki pocziwy i dziarski chłopak!

PAN PODCZASZY.

A jakże się bitwa skończyła?

ZDZISŁAW.

Potem dopędziłem naszych!... (bierze się ręką za czoło) Co za okropny widok! jeden drugiego przebijał bagnetem!.. ranni jęczeli, trupy już pole okrywały!.. ale nieprzyjaciół zaczął słabnąć, panika między nimi zapanowała, kanonierzy sami odważnie stali na swoim posterunku! Wtenczas odwróciłem się do ułanów, mówiąc, „teraz na nas czas!“ wpadliśmy jednym pędem pomiędzy armaty!.. Nie zapomnę nigdy... widziałem zdala jak ostatni wystrzał padł w gęsto ści-

śniony oddział naszej piechoty, zrobił od razu próżną drogę, co zaświeciła od końca do końca, jak te proste drogi, co są czasem w ciemnych lasach! ale to też był ostatni wystrzał!.. armaty zostały, ale ludzi już nie było, Bóg spojrzał na nas z góry i nasza była wygrana!

JANUSZ

(biorąc za rękę Zdzisława).

Nie mówiłem, że on będzie naszym hetmanem!

MARYA.

Biedny Staś Kamiński!

ALFRED

(ciekawie).

Ale cóż dalej? jeszcze zjawienie się krzyża!

ZDZISŁAW.

Dalej!.. (zatrzymuje się zażenowany) Dalej, było to pod wieczór, staliśmy przy ognisku, ktoś mnie z tyłu woła, obracam się!.. widzę jakiegoś generała!.. patrzę... był to sam wódz, generał Chłopiński! stanąłem frontem a on mówi do mnie „młodzieńcze, zasłużyłeś od ojczyzny to, co ci przynoszę“ i sam swoją ręką przypiął mi ten krzyż, (wskazuje na niego) mówiąc dalej „byłem towarzyszem broni Twego zawcześnie zgasłego ojca, powiedz Twojej zacnej matce, że dzielnego syna ojczyźnie wychowała.“ (Rzuca się w objęcia matki.)

JENERAŁOWA.

Synu kochany!.. (Wszyscy rozczuleni, ocierają łzy, wtem dzwonią do kościoła.)

PANI PODCZASZYNA.

Idźmy teraz dziękować Bogu, że go żywego widzimy, a modlić się gorąco za dusze tych nie-szczęśliwych, co zginęli. (Wstają i parami wychodzą; pan Podczaszy z żoną, Janusz z jenerałową, Zdzisław z Malwiną, Alfred z Maryą etc.)

MARYA
(do Alfreda).

Przyznaj Pan, że to miło mieć takiego brata!

ALFRED.

Istotnie, jest czego pozazdrościć Zdzisławowi!

JULJA.

Dobrze, że nie czekamy za rodziną prezesów, oni zawsze za późno przychodzą.

SCENA V.

(PAN PREZES, poważny i otyły — PANI PREZESOWA, przesadna — córka HORTENSJA, elegantka wymuszona — syn HIACYNTY, śmieszny, nawet głupkowaty, ma szkiełko w oku, włosy przedzielone przez sam środek głowy — Służący JAKÓB.

PREZES.

My zawsze przyjeżdżamy wszędzie za późno, już wszyscy dawno w kościele. (Siada na fotel.)

JAKÓB

(odbiera salopy).

Jaśnie państwo czekali dotychczas, ale jak zadzwoniono, trzeba było już iść. (Odchodzi.)

PREZESOWA

(do męża).

Monchère ami, to nie jest „com i fo“ przychodzić razem godzinę naprzód z babami, które siedzą i różaniec odmawiają.

(Hiacynty wydobyl zwierciadełko i grzebyszek, poprawia włosy, czesze wąsy, potem wydobywa flaszeczkę z perfumami i przesadnie siebie i chustkę pokrapia.)

HORTENSYA

(poprawia ubiór matki).

A czy mama nie zapomniała wziąć szpilek?

PREZESOWA.

O nie, mój kwiateczku, nie zapomniałam, jest wszystko, co potrzeba. (Wyciąga różne rzeczy z obydwóch kieszeni, otwiera pudełko, z którego upina kwiaty na głowie córki.)

HORTENSYA.

A puder jest?

PREZESOWA.

Mam, a nawet zwierciadełko. (Jedna drugiej trzyma zwierciadło i po kolei pudrują się.) Moja żabciu, jak będziesz mówić z hrabią, pamiętaj, że w Zaborolu. to najwięcej mówią po francuzku... Że się też to ten hrabia do nikogo nie bierze, widać że jeszcze nie trafił na swoją. (Ciagle upina i układa strój córki.) To tak może przyjs raptem.. On ci się zapewne zaraz zaprezentuje, bo jest, un homme du monde!

HORTENSYA

(do siebie).

Doprawdy, że nie wiem jeszcze jak mu się uklonię, czy tak tylko głową... czy zwyczajnie, (mówiąc naśladuje.)

PREZESOWA.

Pamiętaj kwiateczku mówić mu tak z niechcenia, chère comte!.. Potem mów dużo o książkach, na przykład „O misteryach paryzkich“ to takie klasyczne! a on tak długo był w Paryżu to musi znać wszystko, co tam opisują.

PREZES

(który drzemal budzi się).

A kiedyż do licha będziecie gotowe? ja się już porządnie zdrzemnąłem.

PREZESOWA.

Zaraz, zaraz, mon ange, (wyciąga z kieszeni wachlarz.)

HORTENYA

(z przesadą).

Czy mama znajduje, że panna Marya ładna?
Taka blada, wymokła, milcząca, nieożywiona.
(Wachluje się.)

PREZESOWA

(odwraca się do syna, który kładzie białe rękawiczki).

Czy tam ładna, czy nie ładna, to słuchaj mój
Hiasiu, bierz się do niej z góry, i to z arogan-
cją, kobiety adorują odważnych! Mów jój dużo
o rewiach, wiesz, że ona bardzo je lubi!

HIACYNTY

(kładąc jeszcze rękawiczki).

Czy o tych jesiennych na Powązkach, Mamo?

HORTENSYA

(śmieje się głośno i pokazuje palcem po swoim czole).

Ha! ha! ha! on zawsze ten sam.

PREZESOWA

(odwraca się do syna).

Mon chère ange, Ty zawsze jesteś w obłokach.

HORTENSYA

(podnosi ramionami).

Gdzie on tam w obłokach, on zawsze w klinice katarakty, albo w instytucie głuchoniemych, nigdy nie nie widzi, nie słyszy, nie rozumie, a jak się odezwie, to tylko głupstwa bełkocze!

HIACYNTY.

No, bo Mama mówiła, że kobiety lubią odwanych i panna Marya lubi rewije, chciałem jęj opowiedzieć o mojęj odwadze, kiedy za pierwszym wystrzałem armat nasze konie chciały nas unieść, a ja śmiało wyskoczyłem!...

HORTENSYA

(przerywa mu śmiejąc się).

I cóż byłbyś dalej powiedział?

HIACYNTY

(zdekoncertowany).

No, dalej... dalej...

HORTENSYA.

A widzisz, dudku... już się urwało! (robi mu rękoma, co nazywają długi nos.) Dalej byłoby, wyskoczyłem i stanąłem na nogach i to jeszcze ze strachu, przecie Mama mówi o „Revue de deux mondes“ co pani Szambelanowa nam pożycza,

o téj rewij mów pannie Maryi, gdzie pisze La-
martine, Montalembert i Beranger.

PREZES

(wstając, przeciera oczy i ziewa).

A niech też was nie znam, z takim gu-
zdraniem.

PREZESOWA.

Już wszystko gotowe! (drapują się w szale
i wychodzą.)

SCENA VI.

KUCHARZ — Służący JAKÓB — KAWIARKA —
OGROWY i MŁODY SŁUŻĄCY.

(Ruch wielki, na balkonie przed środkową arkadą stół
nakrywają do śniadania, na zwyczaj święconego, boczne
arkady zostają wolne do przejścia.)

MŁODY SŁUŻĄCY

(trzyma kosz z winem w lewym ręku a w prawym bu-
telkę, którą unosi do góry).

Ktoś tam, gdzieś, kiedyś powiedział i miał
słuszność (śpiewa).

Mahometa miał źle w głowie,
Bo nam wina wzbraniał pić,
My wypijem jego zdrowie
Jeszcze sto lat będziem żyć!
(*odchodzi do stołu*)

OGRODOWY

(ma bukiet i owoce w koszyku, śpiewa).

Moje kwiaty i rabaty,
Jabłuszczyka i gruszczyki,
I brzoskwinki i malinki,
Stół strój a zaszczyt mój!
Bukiet w dłoni, kwiat przy skroni,
Sznur powoju, kibić stroi,
Mirtu wianek dla kochanek,
Niewiast strój, a zaszczyt mój!
(odchodzi na balkon.)

KAWIARKA

(przynosi tace z filiżankami i śpiewa).

Jak kopciuszek zapomniana,
Przy kominku już od rana,
Zważam pilnie by śmietana,
Na stół ładnie była dana,
Dana, dana, moja dana,
Na stół ładnie była dana.
(odchodzi.)

KUCHARZ

(niesie pasztet w ręku i śpiewa.)

Co tam wasze są zasługi,
Chociaż szereg ich jest długi,
Niech się wszystko za piec schowa!
Co innego moja głowa!
(pokazuje palcem w czoło.)
Moje sosy, nad niebiosy,
Chwałą pany, kasztelany,
A pasztety, galarety,
Lody, bomby i suflety!

To nielada, kto układa,
A ich słodycz tam się wkłada
(pokazuje na serce.)
Przy deserze, nieraz było,
Że się „kocham“ wymówiło!
(odchodzi na balkon, słysząc dzwony w kościele.)

JAKÓB.

Wszystko państwo już idą!

SCENA VII.

PODCZASZOSTWO — PANI JENERAŁOWA —
PREZESOSTWO — KANONIK — MALWINA — JA-
NUSZ — HORTENSYA — MARYA — JULIA --
ALFRED — ZDZISŁAW — HIACYNTY.
(Wracają w dawnym porządku, później Jakób.)

PAN PODCZASZY.
(całuje rękę żony).

Mościa dobrodziko i pani moja! oby nam
Pan Bóg dał dożyć do przyszłego roku!

PANI PODCZASZYNA.

Jegomość nigdy nie będzie miał dosyć tego
dobrego (kiwa głową i śmieje się) a przecież to już
wielka karystya, żona co pięćdziesiąt lat żyje!
(siadają oboje na fotel)

JENERAŁOWA

(nadechodzi z prezesem).

Obrządek ten solenny miał być wiele liczniejszy, ale dla dzisiajszych okoliczności, ograniczyliśmy się tylko na najbliższych, a życzliwych sąsiadach. (Prezes kłania się nisko i siadają na krzesła).

KANONIK

(odprowadza prezesową i kłania się poważnie).

Asińdzka Dobrodzika masz bardzo dorodne dzieci.

PREZESOWA

(żywo).

Tak, to prawda, choć jestem ich matką, muszę to sama przyznać, do tego bardzo mi się ich edukacya udała. (wachluje się i siada na fotel.)

HORTENSYA

(wisząc od niechcenia na ręku hrabiego).

Chér comte! comme c'était émouvent, nigdy nie widziałam takiej ceremonii, jest opis czegoś podobnego w „mistryach paryzkich.“

ALFRED

(zadziwiony).

Czy pani czytała to dzieło?

HORTENSYA

(przewracając oczy).

Ach i z jakim zajęciem!.. jakie to jest klasyczne!..

ALFRED

(zawsze zdziwiony).

Klasyczne?.. znajdujesz Pani?... ależ ja nie pamiętam nic podobnego!

HORTENSYA

(trzymając go wciąż pod rękę, przyciąga do stolika, gdzie kwiaty).

Czy pan hrabia lubisz kwiaty?

ALFRED

(uśmiechając się).

Bardzo lubię hortensye, ale nie widzę ich w tym wazonie.

HORTENSYA

(do siebie).

Jaki to delikatny komplement! quel homme du monde!

HIACYNTY

(przyprawia Maryą, całuje ją w rękę i kłania się przesadnie).

Czy Pani lubi lekturę „rewii dwóch światów.“

MARYA

Pan zapewne chcesz mówić o „Revue de deux mondes,” która wychodzi w Paryżu?

HIACYNTY

(poprawia sobie krawatkę).

Tak jest, mademoiselle la jenerale, (poczem głęboko się uklonił.)

MARYA.

Z jakiej okoliczności przychodzi ona Panu na myśl?

HIACYNTY.

Bo te kościelne śpiewy i ich klasyczny wiersz unosząc duszę pod niebo, przypominają ostatnie utwory Beranżera w tej rewii.

MARYA

(uśmiecha się, do siebie).

Biedny młodzieniec!

JAKÓB.

Śniadanie na stole!

(Wszyscy wstają, idą pierwotnym porządkiem, starsze osoby zasiadają poza stołem twarzami do sceny, młodsze to siedzą, to chodzą, Marya i Julja nalewają kawę i herbatę, potem biorą się pod rękę i wybiegają na środek sceny.)

MARYA

(śmieje się).

Wiesz, kochana Julciu, że oni niczego się nie domyślają!.. a to piękna będzie surpryza dla pani prezesowej!..

JULJA.

A panna Hortensya co powie? ale moja droga Maryniu, mnie tak smutno na sercu, że się wcale nie mogę rozweselić, (ociera łzy) czy ty wiesz, że Zdzisław zaraz po śniadaniu wyjeżdża?

HIACYNTY

(przybiega z talerzem owoców).

Śmiem aż tutaj przynieść paniom owoce z tego raj! Niech mi pani poda choćby najkwaśniejsze jabłuszko, to jeszcze z jej rąk zjem z największą rozkoszą!

MARYA

(patrzy na talerz i śmieje się).

Ale Pan nie uważałeś, że tu nie ma jablek! (na boku) Biedak, jaki on śmieszny! (powracają na balkon.)

PREZES

(z kieliszkiem w rękę).

Zdrowie przeacnej pary, która nam pięćdziesiąt lat przoduje w wszystkich cnotach i najświętszych przykładach! Niech żyją dzisiajsi jubilaci!

WSZYSCY.

Niech żyją jubilaci!

PAN PODCZASZY

(powstaje z kieliszkiem).

Podziękowanie zacnym i łaskawym sąsiadom,
za tyloletnią życzliwość i przyjaźń!

KANONIK.

Wnoszę toast na pomyślność dwóch par narzeczonych: hrabiego Zaborolskiego i Maryi córki
zacznej pamięci jenerała Turowskiego, jako też
Zdzisława, syna jego i panny Julji Załomskiej,
niech im Pan Bóg błogosławi, niech żyją długo
i szczęśliwie, jak dziadek i babka!...

ALFRED

(powstaje z kieliszkiem.)

Niech mi wolno będzie wzniesć zdrowie z podziękowaniem przezacnemu kapłanowi, którego
błogosławieństwo przyczyni się do naszego wspólnego
szczęścia!

WSZYSCY.

Ksiądz kanonik niech żyje! (počem wszyscy
wstają i wracają na swoje dawne miejsca, prócz Alfreda.)

PREZESOWA

(rozdrażniona idzie do Maryi i Julji).

Co ja słyszałam? co za miła niespodzianka, winszuję, winszuję! (na boku) Teraz już nie ma tu co robić!

HORTENSYA

(zbliża się do Julji i Maryi).

O, quelle vide, będzie w mojem sercu, jak ci panowie zabiorą nam te skarby! comme ils sont heureux! (podaje im rękę) istne, enlèvement des Sabines! winszuję, winszuję!

PREZESOWA

(w złym humorze mówi do męża).

Mon chér ami, filujmy! (na boku) Po co tu już siedzieć!

JENERAŁOWA

(do Prezesowój).

Pani Prezesowa chce już nas opuścić?

PREZESOWA

(z przesadą).

Nie chcemy przeszkadzać trzem szczęśliwem parom, wolimy pożegnać łaskawych państwa! (żegna się i odchodzi.)

MALWINA.

Ja także muszę pożegnać szanowne i szczęśliwe

towarzystwo, j'ai la migraine! pewno od organów, ale Alfred zostaje à son poste! (Malwina, Janusz żegnają wszystkich i odchodzą, poczem chwila milczenia.)

ZDZISŁAW

(z rozczuleniem podaje rękę matce).

A teraz kochano Matko, wybije znowu chwila rozstania, muszę jednakowoż przed nią wypełnić wszystkich zdanych mi zleceń. (Dobywa różne listy i papiery z kieszeni.) To są proklamacye do przepisania i rozesłania, już podobno Mama wiesz gdzie?

JENERAŁOWA.

O wiem, wiem, będzie zrobione!

ZDZISŁAW

(oddaje list).

A to bardzo ważny list z rozkazami, musi być wręczony do własnych rąk!

JENERAŁOWA

(czyta adres.)

Dobrze, dobrze mój synu, zaraz sama pojedę do jenerała do Łowicza, a że muszę być jutro w Warszawie, dla założenia trzeciego lazaretu na Lesznie, sama odpowiedź przywiozę.

ZDZISŁAW

(odwraca się i żegna wszystkich po kolei).

Teraz już urlop i szczęśliwe chwile się kończą,
bądźcie wszyscy dobrej myśli! Matko, siostro,
Juljo, a wy kochana Babko i Dziadku i zacny
kanoniku, znowu będę was prosił o błogo-
sławieństwo.

JULJA

(trzyma chustkę u oczu).

Zdzisławie, czy już!... (Podaje mu rękę.)

ZDZISŁAW

(wesolo i z zapalem).

Już! czy nie słyszysz? (odwraca się, pokazuje
ręką na drzwi, potem śpiewa:)

Rzy mój gniady, nogą grzebie,
Czas! już czas! ciebie matko,
I was siostry żegnam was. (bis)
(*Zwany śpiew utworu Chopina.*)

(Marya i Julja płaczą, we drzwiach ukazuje się Alfred
w mundurze ułańskim.)

ZDZISŁAW

(zbliża się do rodziców).

Kanoniku, rodzice, błogosławcie mnie na ten
krwawy bój!... (Alfred się zbliża i razem z Zdzi-
sławem przyklękuje.)

WSZYSCY.

Ach! Alfred!

ALFRED.

I ja proszę o to samo błogosławieństwo, abym z dotrzymaniem obietnicy, i poświęceniem dla ojczyzny, stał się godzien nagrody! (rodzice błogosławią, kurtyna zapada.)

KONIEC AKTU II.

AKT III.

(Dwa lata po upływie pierwszym.)

SCENA I.

(Drzwi duże w środku, mniejsze po bokach, pokój sypialny Maryi, łóżko ze spuszczoną kotarą, obok kłęcznik, po prawej stronie sceny kanapa, przed nią stolik, okryty kolorową serwetą, obok kanapy mały fortepian, z przeciwnej strony w lewo sceny kominek, na którym ogień się pali, po prawej stronie kominka dwa fotele stoją przy sobie obrócone przodem do widzów.)

OSOBY:

MARYA sama siedzi przy kominku, później JANUSZ.

MARYA

(ubrana w żałobie, trzyma książkę w ręku).

Już lat dwa mija, jak w tym pałacu płyną dni moje! jakże szczęśliwych było mało! (patrzy na zegarek) Alfred obiecał przyjść! (porusza głową)

nie przychodzi wtenczas kiedy ja do niego zaczynam się przyzwyczajać, to on taki robi się obojętny!.... dawniej.... (przytakuje głową) dawniej.... nie mogłam go namówić, ani do gospodarstwa, ani na polowanie, ani do Warszawy!... „Jedź ze mną, to pojedę,“ mówił „kogoż ja więcj potrzebuje do szczęścia, jak mojej pani, mojej królowej, mego anioła!“... (zamyślona) a jak czasem z kąd wracał, czułam przy przywitaniu, jak mu silnie serce w piersiach biło!... Jak kwiat, który mu nieżyczliwa ręka jeden listek po drugim wyrwała, tak z kwiatu naszego szczęścia i miłości już tylko sucha łodyga została!... już ani serca bicia, ani słówka pieszczoty nie ma! Dziś jestem tą gałązką oderwaną od swego drzewa i pędzona wirem jakiegoś dziwnego prądu!... słabą jak ona, zdaje mi się, że tonę w jakiejś otchłani!...

JOLANTA

(wnosi śniadanie, stawia na stole, Marya wstaje i idzie sięść na kanapę).

Pani hrabina taka zawsze sama, taka smutna i tak często teraz cierpiąca!

MARYA.

Kochana Jolanto! ty poczęiwa towarzysko moja! ty jesteś ostatnią pamiątką dawnego szczę-

ścia i dawniej swobody! chcesz mnie rozweselić
powiedz, czyś dawno słyszała co o Kościelcu
i o Mamie?

JOLANTA

(ogląda się w koło).

Właśnie był u mnie Jakób, opowiadał ze
łzami w oczach, jak im jeszcze smutno bez naj-
starszej dobrodziki, mówił: „pani Podczaszyna to
istnie z melankolii za panią hrabiną umarła;
wciąż kabały i pasjanse kładła i tak płakała, że
aż wreszcie zgasała nam jak świeca na ołtarzu.“

MARYA

(ociera łzy).

Pocziwa kochana babunia! jej serce niejedno
przeczuło!...

JOLANTA.

Pani jenerałowa, to ciągle jeździ po kwestach
dla naszych emigrantów, zapewne przyjedzie także
do pana hrabiego!

MARYA.

O jakże poznaję kochaną mamę, zawsze ta
sama, nigdy o sobie a zawsze o drugich myśli!
(ktoś do drzwi zapukał) Ach! otóż i Alfred! (Marya
powstaje i idzie ku drzwiom, Jolanta odchodzi w lewo.)

SCENA II.

MARYA — JANUSZ.

JANUSZ

(wchodzi głównymi drzwiami, trzymając książki w ręku).

Otóż, nie Alfred! ale najniższy sługa, jego zastępca, któremu zlecił żonę swą bawić, bo sam musiał raptem powrócić do Warszawy. (bierze Maryą w pas i całuje w czoło.)

MARYA

(oddala jego rękę).

O Boże! jak ja tego nie lubię! nigdy nie widziałam u nas tego zwyczaju! (siada na kanapę.)

JANUSZ

(kładzie książki na stole i siada poufale na kanapie przy Maryi).

Przyniosłem ci, Maryo, najnowsze romanse, mam nadzieję, że dostanę za to śniadanie! (wpatruje się w nią) a potem... potem... co najmniej, po.... podziękowanie! Patrz! (bierze książki do ręki) Alfonse Carr, Balzac, „Les amoures de Riche-lieu,” tu poznasz świat w prawdziwym świetle!

MARYA

(przyrządza herbatę, Janusz wpatruje się w nią).

Ja nie mam czasu, na słuchanie rzeczy istotnie niepotrzebnych!

JANUSZ.

Maryo! jakie twoje włosy mają dzisiaj piękny połysk!... Możnaby myślami utonąć w tem zwierciadle!... (w tej chwili Marya podaje nachyloną herbatę Januszowi, który korzysta z zbliżonej ręki całuje niespodzianie) mam nadzieję, że ta biała rączka ratowałaby tego, któryby dla niej w marzeniach tonął!

MARYA

(nie zważając na to co on mówi).

Czy nie wiesz, panie Januszu, na jak długo mój mąż wyjechał?

JANUSZ.

Zapomnij tego niewdzięcznika, kiedy cię tak opuszcza!

MARYA.

To nie jest dobra rada!

JANUSZ

(żywo).

Kiedy ta niedobra, dam inną!

MARYA.

Słucham! żeby tylko była dobrą!

JANUSZ.

Bardzo dobra i skuteczna! najprzód musisz się całkiem zmienić!

MARYA.

To niełatwo!

JANUSZ.

Trzeba najprzód zapomnieć wszystkie zabobony twego ukochanego Kościelca, trzeba być mniej poważną a weselszą, a co najważniejsze, trzeba w Alfredzie wzniecić zazdrość i to szaloną zazdrość!

MARYA

(smutno).

Onby już dziś nie był zazdrosnym.

JANUSZ

(wziął Maryą za rękę patrząc na nią namiętnie).

Może dziś nim nie jest, ale będzie, jak mnie zawierzysz; widzisz, miłość to jest podobna do pragnienia po szalonym tańcu, zdaje się że tu (pokazuje ręką piersi) jest jakaś bezdenna próżnia i niengaszony żar, co trzeba napelnić i ugasić!.. jak się rąptem wypije szklanę zimnej wody, to już pragnienie ustanie! — tak samo ze sercem, dawniej próżne i palające, jak napelni i uspokoi żona, to już więcej nie ma co pragnąć!

MARYA

(zgorszona chce wstać, Janusz ją wstrzymuje).

A cóż za okropne porównania i zasady! wolę ich wcale nie słuchać!...

JANUSZ.

Kiedy mam na ten przypadek doskonałe lekarstwo!

MARYA

(zasłania sobie rękoma uszy).

Już nie chcę słyszeć!

JANUSZ.

Słowo honoru bardzo skuteczne!

MARYA

(stoi przed stolikiem, Janusz za rękę ją wstrzymuje).

Już ostatni raz słucham!

JANUSZ.

Nic innego, jak tylko to, że trzeba się wrzucić znowu w ten dawny wir szału i tańca, aby wzniecić pragnienie tego, co ugasło!

MARYA

(zasłania sobie oczy rękoma).

O Boże! co za rozmowa, aż mi się zimno robi.
(Wyciąga rękę do dzwonka i dzwoni.)

JANUSZ

(żywo).

Maryo! nie dzwoń! (Janusz widząc że zadzwoniła bierze z pudełka cygaro, które zapala.)

SCENA III.

Ci sami i SYDONIA.

SYDONIA

(mówi hardo i wesoło).

Pani hrabina dzwoniła? (sposstrzega Janusza, który siadł na krześle poważnie z cygarem, nie mówiąc, grozi mu palcem.)

MARYA.

Kochana Sydonio! chciałam tylko wiedzieć, kiedy pan hrabia powróci?

SYDONIA.

Pan hrabia wcale dziś nie wyjeżdżał! właśnie teraz się ubiera!

JANUSZ

(zażenowany).

Widzę, że pani bratowej za wiele robię dymu mojem cygarem, więc żegnam! (Marya spojrzała groźnie na Janusza, odwróciła się boki, kiedy ten chciał jej rękę podać, Janusz wychodzi razem z Sydonią, która mu jeszcze we drzwiach grozi palcem.)

SCENA IV.

MARYA sama, później ALFRED.

MARYA.

O Boże! między jakimi ja ludźmi żyję! gdzie

się podział ten błękit mojej duszy!? te złote marzenia? gdzie są te święte dusze, co mnie otaczały i we wszystkim podpierały?... Dziś tylko Ty, Boże moją jedyną opieką! (klęka na klęczniku i płacze, po chwili ktoś zapukał do drzwi, Marya się zrywa).

ALFRED.

Czy można? — myślę, że mężowi zawsze można?

MARYA

(uszcześliwiona, rzuca mu się na szyję).

Ach! Alfredzie! ty mnie tak opuszczasz, tak cię dawno nie widziałam!

ALFRED

(mówi ciągle żywo i wesoło).

Szkoda żeś z nami nie była! ubawiliśmy się do sytu! (siada przy kominku.)

MARYA.

Kiedy te wszystkie zabawy takie są męczące!

ALFRED

(lekko).

La grande affaire! godzina jazdy a dwadzieścia wesołości! (bierze żonę w pas) Teraz, żonciu kochana, powiem ci, że porządnie się zgrałem!

MARYA.

Znowu? i tak wesoło o tem mówisz! a przecie Alfredzie, obiecałeś mi...

ALFRED
(przerywa).

Coż chcesz! namiętności silniejsze od ludzi! ale słuchaj dalej! byliśmy na śniadaniu u Edzia; ty nie wiesz co to jest kawalerskie śniadanie? to jest rój pszczoł, które zbierają i kradną wszystkim i wszędzie dowcipy i inteligencyą! w salonach buduarach, nawet za kulisami, aby wszystko potem wylać w szumie szampana! i właśnie jakeśmy byli, en train, wchodzi Adelina!

MARYA
(zadziwiona).

Jaka Adelina i po co?

ALFRED
(bierze się raptem ręką za usta i mówi na boku).

A do licha! to się popisałem! jak się tu wykreścić?! (po krótkim namysle) Ach! ty wiesz.... musiałaś o niej słyszeć... ta stara, niezdolna piszczka! co zawsze po kwestach chodzi!

MARYA.

A czy przynajmniej co dostała?

ALFRED.

Dostała, dostała i grubo! wszyscy sypali złotem! to jest bardzo hojne towarzystwo, kiedy chodzi o takie cele! (uśmiecha się na boku.)

MARYA.

Chwała Bogu! ale kochany Alfredzie, tyś teraz taki odurzony światem, w domu tak smutno bez ciebie! (bierze chustkę do ocz i płacze.)

ALFRED

(bierze ją w pas).

Ale moja Maryniu, bądź raisonable! bądź tak wesolą jak ja! ja ci właśnie dla tego wszystkich zprosiłem na dzisiaj!

MARYA

(przerażona).

Na dzisiaj?! kiedy ja jestem w grubiej żałobie?!

ALFRED

(wstaje).

La grande affaire! zdejmiesz na jeden dzień żałobę!

MARYA

(kładąc nieśmiało mu rękę na ramię patrząc czule na niego).

Alfredzie! aleś ty nie zaprosił księcia?

ALFRED

(żywo).

Właśnie żem go zaprosił!

MARYA.

O Boże! ja tak cię o to zawsze proszę, żebyś go nigdy nie zapraszał! już zimą w Warszawie, mówiłam ci, że on... że on... (do siebie) O Boże! jakto powiedzieć?... (głośno) że on... jak mówiono wtenczas miał być mną zajęty!

ALFRED.

Ha! ha! ha! la grande affaire! przecie nie ma kobiety na świecie w której by się ktoś, jakiś nie kochał, lepiej że on, jak kto inny! na takie rzeczy, to najlepiej patrzeć przez szpary! (kiwnął ręką, pocałował w czoło i odszedł.)

MARYA

(sama i smutna).

Alfred zawsze ze mnie się śmieje, zawsze niekontent z zasad w których byłam wychowaną, trzeba będzie choć na pozór, zmienić się trochę i starać mężowi przypodobać! Idźmy się biało ubrać! (odechodzi).

SCENA V.

(Kurtyna zapada na chwilę dla zmiany dekoracyi, pokój ten sam, na pierwszym planie; z tyłu wyniesione łóżko, kłęcznik

i stół przed kanapą; tylna ściana posunięta, salon głębszy; przy podniesieniu kurtyny wchodzą głównymi drzwiami Natalja i Malwina, obydwie w podróżnych ubiorach.)

MALWINA

(mówi głośno i wesoło).

Przyznać musimy, że nam się wszystko doskonale udało!

NATALJA

(śmieje się ciągle).

Czy nas kto nie wyda z tego, żeśmy byli na wczorajszej reprezentacji? była znakomitą! Prawda, prawda, że trochę „décolté!“ boję się Alfreda!

MALWINA.

Alfredowi powiemy, że jak nas wyda, to my go także wydamy....

NATALJA

(przerywa).

Z bukietu, który miał w środku sto dukatów w złocie!

MALWINA.

Prawdziwe nieszczęście, że poznał na śniadaniu u Edzia tę szatańską Adelinę! żeby to przynajmniej mogło pozostać tajemnicą!

NATALJA.

Wiesz Malwino, że à propos tajemnicy, w którym sercu musi być prawdziwa tajemnica, to w sercu księcia Gustawa! bywa wszędzie, robi wszystko co drudzy, ale wszystko jakby we śnie magnetycznym!

MALWINA.

Kto wie, która ga tam uśpiła?! ta zapewne tylko potrafi go rozbudzić! Ale teraz idźmy zmienić nasze podróżne ubrania! (wychodzą w prawo.)

SCENA VI.

KSIĄŻĘ — MARYA, później SYDONIA.

KSIĄŻĘ

(wehodzi głównymi drzwiami, siada na fotel przy kominku zamysłony, po chwili mówi).

Wolałem tu zostać.... mam nadzieję, że ją prędej samą zobaczę!... czuję to w mojem sercu, i mam przekonanie, że ona nie jest szczęśliwą!... Od chwili gdzie ją widziałem na balu, tańczącą ze łzami w oczach, od téj chwili stoi w mojej wyobraźni, jak posąg, co nic zarządzić nie może!... Alred jéj nie rozumie, u niego to był tylko szal!... jego całe życie jest tylko jednym szalem!...

MARYA

(okazuje się w bocznych drzwiach za fotelem księcia, idzie nie widząc go wprost na środek sceny, gdzie nakłada rękawiczki, ubrana w bieli, fiolki na głowie i u stanika, czarna aksamitna szarfa związana na sukni).

Otóż jestem w bieli, usłuchałam Alfreda, wszystko robię, żeby mu się przypodobać a przez to jego i siebie ratować!

KSIĄŻĘ

(wstaje).

Nie chcąc być niedyskretnym....

MARYA

(przerażona).

Ach! zkadże się książę tu wziął?

KSIĄŻĘ

(stojąc nieśmiało).

Czekałem za panią!... coś mi mówiło, że niebawem będziesz tu przechodzić... chciałem sam na sam choć kilka słów pomówić! (bierze się ręką za czoło, zarzucając włosy) Ale! ale, jak mi to trudno przełamać te twarde lody, które pani niczem nie pozwala skruszyć! zakazałaś bywać! nie pozwalasz pisać! nie wolno mi nawet wyznać, że serce tak gwałtownie przy tobie bije! a tak obumiera bez ciebie.

MARYA

(siada przy kominku).

Rozumiem, że kobieta wolna może na to wszystko pozwolić, ale ja mam męża!

KSIĄŻĘ

(siada przy Maryi).

Nie chcę mówić o tem obszerniej, ale powiem, że od roku żyję karmiony goryczą i nieszczęściem, ale pozwól!... pozwól, niech ci powiem pani!... ja wiem!... że i ty jesteś nieszczęśliwą!

MARYA

(przeżona mówi na boku).

O Boże! kto mu to powiedział? (do księcia) niech książę nie więcej nie mówi! wolę nic nie słyszeć i nic nie wiedzieć!.. Alfred powróci z tego oblędu i będzie później szczęśliwym w zaciszu domowem!

KSIĄŻĘ

(żywo).

A jak nie powróci?

MARYA

(obrażona).

Jak książę może to przypuszczać?

KSIĄŻĘ

(z rodzajem natchnienia).

Jest jedna siła, która robi zwyczajnego człowieka prorokiem! ta siła jest, pierwsza, czysta, święta miłość!... ta siła oświeca przyszłość téj, którą się kocha! dziś... dziś nie od ciebie, pani, nie żądam, niczego nie pragnę!... o jedno zaklinam i błagam, jak będziesz potrzebować pomocy, o ty słaby i nieszczęśliwy aniele, przyjmij ją tylko od tego, co swoje życie gotów dla ciebie poświęcić! (wziął Maryą za rękę i trzyma w swoim ręku, patrząc na nią czule.)

MARYA.

Widząc księcia tak szlachetne uczucia, przyrzekam! (książę całuje jęj rękę z zapalem.)

KSIĄŻĘ

(wstaje).

Odechodzę szczęśliwy, więcéj nie pragnąłem? (na boku) Teraz mam pewność, że wyrwałem ją z niecnéj opieki Janusza! (odechodzi.)

SCENA VI.

MARYA — SYDONIA.

SYDONIA

(wchodzi z lewéj trzymając bukiet w ręku).

Je vous pris madame la comtesse! nie mogę

znaleść pana hrabiego, kazał mi wysłać te kwiaty do pani Adeliny Lerois w Warszawie, ale nie wiem jój adresu?

MARYA
(zadziwiona).

Pani Adelina Lerois? ja nie znam téj pani! z pewnością pani Malwina będzie wiedziała!

SYDONIA
(na boku).

Co ja zrobiłam! to pewnie był sekret? (głośno)
A prawda, prawda! pójdę zapytać się pani Malwiny! (odechodzi.)

MARYA
(otrząsa się).

Nie wiem dla czego, ale mnie jakiś straszny dreszcz przecucia przechodzi? (bierze się za serce, oddychając głęboko) i tu, tak znowu boli!

SCENA IX.

NATALJA — MALWINA — MARYA — później
KSIĄŻĘ — LEON — ALFRED — JANUSZ.

(Wszyscy się witają z Maryą; — wszyscy w ubiorach strojnych; — na pierwszym planie rozmawiają, — z tyłu wnieśli lokaje stół ze śniadaniem.)

MALWINA

(sposstrzeglszy Maryą).

Ach! jaka Marya dziś piękna! ale jakaś za-
frasowana? (bierze ją za rękę.)

MARYA

(pomieszano i nieśmiało.)

Droga Malwino, powiedz mi szczerze, komu
Alfred posłał kwiaty do Warszawy?

MALWINA

(żywo podnosząc ramionami).

Jakie kwiaty? to znowu jakiś klabodaż!

MARYA

(porusza głową).

Nie klabodaż! rzeczywiście posłane dla pani
Adeliny Lerois!

MALWINA

(spojrzała na Natalję).

Co za nieszczęście?

NATALJA.

Jak się tu wykręcać?

MALWINA

(po chwili namysłu).

Ach prawda! prawda, to dziś naszój dawněj

guwernantki imieniny! pocziwy Alfred o niej nie zapomniał!

MARYA
(zamyślona).

To pewnie ta zacna osoba, która kwestowała u pana Edwarda, bo jej właśnie było imię Adelina!

MALWINA.

A tak, tak właśnie ta sama! ale kochana Maryniu, czego się tak niepokoisz! ja się nigdy nie pytam, co i gdzie Janusz posła!

MARYA
(do siebie).

To wszystko podejrzane, mnie tylko książę powie prawdę! (zamyślona.)

JANUSZ
(wesół).

Przybywa paniom kontyngens wesół do naszego obozu, otóż książę, Leon i Alfred! (wskazuje na tych panów, co wchodzą, witając się z wszystkimi.)

ALFRED
(sposzregł żonę).

Ach! jaka moja żona dziś piękna! żeby to tak zawsze było!.. toby... toby...

JANUSZ

(przerywa).

My znajdujemy, że zawsze jest taką, jak teraz, (całuje Maryą w rękę) ale dokończ Alfredzie twoje „toby — toby?“

ALFRED.

Chciałem powiedzieć, en mari galant, tobyśmy wszyscy nie ustali szaleć!

LEON

(odwraca się do Maryi, wskazując na Alfreda).

Żeby nie ten Otello, wszyscy bylibyśmy u nóg téj Dezdemony!..

MARYA

(obojętnie).

Pan Leon zawsze wesóły i dowcipny, ale tą razą dowcip nie jest zupełnie trafny! (Leon idzie do klawikordu, zaczyna grać wesołą przegrywkę, później śpiewa różne śpiewy, stósowne do okoliczności, księżę zbliżył się do Maryi, mówiąc:)

KSIĄŻĘ.

Pani taka smutna! czy co nowego zaszło?

MARYA

(półgłosem).

Już będę potrzebować księcia opieki.

KSIAŻĘ.

Co za szczęście!

ALFRED

(idzie do śpiewającego Leona i uderza go w ramię).

No, ty birbancie! hulako! don Jouanie! teraz już śniadanie! (Lokaje stawiają na stole bulion we filiżankach, Alfred prowadzi Natalję, Leon Malwinę, księżę (Maryą, Janusz idzie sam, Alfred mówi do Natalii) Kiedy my tu wszyscy w sekrecie, więc mogę się zapytać szanownej sąsiadki, jak się wczorajsza reprezentacya podobała?

NATALJA

(z przesadą).

Je rougis! ale przyznać muszę, że bardzo! (wszyscy piją i jedzą).

JANUSZ

(do Alfreda).

Twój teraźniejszy kucharz prawdziwy artysta! znakomicie podał tę pularde!

LEON

(bierze kieliszek w rękę, służący nalewa).

Ja sprobuję piwnicy i zaczynam zdrowie łaskawych i obecnych dam! (panie dziękują uśmiechem).

JANUSZ

(biorąc kieliszek w rękę).

Ja wnoszę „nieobecnych!“ i zaczynam od

dzisiajszój prymadonny! (Alfred i Leon piją, książę nie pije i porusza się z widocznem oburzeniem). Patrzcie! patrzcie! ten Katon nie pije!

KSIĄŻĘ.

Nie piję, bo mi się wcale nie podoba! (Służba zmienia ciągle talerze).

LEON

(z oburzeniem).

A! to już jesteś prawdziwym głazem! taka jest urocza, że jak śpiewa, to ja nie śmiem nawet na nią patrzeć! nie ma drugiej nad Adelinę!

MARYA

(mówi do siebie).

A to dziwne, znowu jakaś Adelina?! cóż to znaczy? dzisiaj wszystkim kobietom imię „Adelina?”

KSIĄŻĘ

(półgłosem do Maryi).

Jakże panią szczerze żałuję! jesteś panią tego domu, a nie możesz....

ALFRED

(przerywa wstając).

Komu w drogę, temu czas! obiecaliśmy być na koncercie, kto ze mną jedzie? (wszyscy powstają).

LEON.

Ja!

MALWINA.

My także z Natalją! (odwraca się do księcia).
A księżę?

KSIĄŻĘ.

Ja jestem na wózku Janusza!

JANUSZ.

A ja muszę się jeszcze przebrać! (Natalja i Malwina żegnają się z Maryą).

NATALJA.

Żegnam cię, kochana Maryo i żałuję, że nie jedziesz nami.

ALFRED

(zbliża się do Maryi).

Czy ty cierpiąca, Maryo? ochraniaj się duszko! (całuje ją w czoło) Au revoir (żegna zdalą ręką, wszyscy panowie odprowadzają damy do powozu).

SCENA X.

MARYA sama — potem KSIĄŻĘ.

MARYA

.(słysząc turkot powozu).

O Boże! już Alfreda nie ma! co to wszystko

znaczy? (Rzuca się na fotel w téj chwili książę pokazuje się we drzwiach zbliżając się ku Maryi).

MARYA

(sposzregła księcia, mówi składając ręce).

Zaklinam księcia! powiedz mi prawdę? czy ten bukiet był dla téj aktorki?... (książę stoi pomiészany i milezy) Książę milczysz! (książę z spuszczonei oczami, uporeczywie milezy). Ach!... przebóg!... to ona!... (Marya chwyta się za serce wydaje przeraźliwy krzyk). Ach!... (poczem przeczyła głowę na fotel, na pół zemdlona, książę przerażony bierze ją za rękę).

KSIĄŻĘ.

Pani! Maryo! co zrobić, żeby cię widzieć szczęśliwą? (książę kleka, przerażony odgarnia włosy Maryi z czoła) O Boże! ona nie słyszy!.. jaka zimna!.. (powstaje i obraca się za dzwonkiem) Trzebaby zadzwonić! (w téj chwili Marya westchnęła głęboko i bierze się za serce, mówiąc cicho).

MARYA.

Jolanta!... Jolanta!... (otwiera oczy, sposzrega księcia.) Ach! to książę!... (mówi wolnym głosem) To nic!... to już mija!... ale dziś rano myślałam, że umrę!... (przechodzi ręką po czole).

KSIĄŻĘ.

Niech pani tego nie mówi! przecie on jeszcze powróci!...

MARYA

(smutno porusza głową).

On już mnie nie kocha!... pewno już nie powróci!...

KSIĄŻĘ.

Jak nie powróci. . (wskazuje na serce) znam jedno serce, co razem z twojem, pani będzie bolało i biło!

MARYA

(podaje księciu rękę).

Daj mi książę słowo, że jakakolwiek prawda będzie, to mi jój nie ukryjesz.

KSIĄŻĘ.

Daję ci, pani, słowo!... ale na zadatek tego słowa, błagam o jedną łaskę!

MARYA.

O jaką?

KSIĄŻĘ.

O tę wiązkę kwiatów, co leżała na tem zbole-
łym sercu!

MARYA

(spogląda na fiołki, co miała przy staniku, odpięła i patrząc na nie mówi).

Te fiołki istotnie są mojem godłem, brak im tylko cierni! (podaje księciu który klęka i podane kwiaty namiętnie całuje, w tej chwili służący wchodzi).

SCENA XI.

MARYA — JENERAŁOWA — SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY.

Pani Jenerałowa przyjechała i tu właśnie idzie!
(odchodzi).

MARYA

(z zadziwieniem).

O Boże! moja matka w takiej chwili! Pan Bóg ją tu zesłał! (do księcia) Niech książę na chwilę idzie do pokoju Alfreda, moja matka musi mieć jakiś ważny interes! (książę odchodzi bocznymi drzwiami) Ja tak zawsze Alfreda usilnie proszę, żeby go nigdy nie zapraszał!... a on zawsze ze mnie się śmieje!...

JENERAŁOWA

(wchodzi głównymi drzwiami, Marya idzie ku matce, rzuca się w jej objęcia).

Kochane dziecko moje!

MARYA.

Matko!

JENERAŁOWA

(całuje ją).

Maryo, co tobie jest? taka jesteś blada, zimna cała drżąca? Moje ty szczęście i nieszczęście zarazem, mało cię teraz widzę, bo idziemy dwoma przeciwnymi prądami! (na boku) Ona nie wie, że ja wszystko wiem, a może jeszcze lepiej od niej! (do Maryi) Ja tu, drogie dziecko moje, przyjechałam po kweście, powiesz to twoim panom, jak powrócą!

MARYA

(smutno).

Nie ma ich! wyjechali!... o matko! jak to trudno kobiecie być szczęśliwą na téj ziemi!

JENERAŁOWA

(bierze Maryą za rękę).

Córko moja! dziecko moje szczęście leży w sumieniu!... słuchaj co ci powiem... tyś była u nas tym brylantem, którego promienie cały dom oświecały!... jak ten klejnot wyszedł z rodziny wszystko zgasło! zostały w naszym ognisku domowem tylko zimne zgliszczka! (bierze ją w pas całuje w czoło) ale pamiętaj córko! że ten klejnot musi dzisiaj, tutaj świecić miłością matki i żony, (z zapalem) musi być jasny, czysty, bez żadnej

skazy!... O! dziecko! ty nie wiesz, co to jest najmniejsza plama na sumieniu kobiety!... ona, jak w załomach brylantu, choć mała, to tysiąckrotnie się powiększa i powtarza!.. o! wierzaj mi córko! że już nie i nigdy jój nie zmaże!.. (donośniejszym głosem, poruszając głowę dla negacyi) nie!.. nigdy!.. nic nie zmaże!.. ty ją sama widzieć będziesz w dzień i w nocy (mówi srogo) przy kołysce dziecka!.. i przy stopniach ołtarza!.. (Marya przerażona zakrywa oczy, jenerałowa mówi wolniej i ciszej) a po latach wielu, jak przez pokuty i modlitwę, zmiękczysz Pana nad Pany, to może On ci daruje i zapomni!.. (bierze Maryą silnie za rękę i mówi z energią) ale ludzie i syn nigdy nie darują!... nigdy nie zapomną!..

MARYA

(rzuca się płacząc w objęcia matki).

Matko! ja chcę z tobą jechać!... ja tu nie zostanę!

JENERAŁOWA

(porusza wolno głowę).

Nie! córko! zostać tu musisz! tu twój dom, tu twoje dziecko! nie ma męża, któryby nie powrócił do enotliwój żony!..

MARYA

(rzuca się znowu w objęcia matki).

Matko! zabierz mnie ze sobą!

JENERAŁOWA.

Nie zabiorę! i Bogu oddaję! niech On cię natchnie tém, co męża uszczęśliwić może! (całuje ją w czoło i odchodzi, Marya znużona pada na fotel).

SCENA XII.

MARYA — KSIAŻĘ.

(Książę ukazuje się w bocznych drzwiach, zbliżając się wolno do zamysłonej Maryi).

KSIAŻĘ.

Pani mnie słowem zobowiązała do prawdy! (pokazuje otwarty list, który trzyma w ręku) Otóż jest prawda!... leżał otwarty na biurku Alfreda!

MARYA

(odbiera list od księcia, rzuciwszy okiem na podpis, rzuca go na ziemię, przerażona).

Ach! Adelina!... nie ma już wątpienia!... (zasłania sobie oczy rękoma, zrywając się z fotelu).

KSIAŻĘ

(patrzy na Maryę i mówi z politowaniem).

Co mi pani teraz każe dalej uczynić?

MARYA

(zbiera myśli i mówi z energią).

Wyjechać!

KSIAŻĘ

(bierze jęj rękę i trzyma w swoich).

Maryo!

MARYA

(z głębkim westchnieniem).

Wyjeżdżaj księżę! i to zaraz!

KSIAŻĘ

(patrzy czule na Maryą).

Maryo! miej litość nade mną!

(Kurtyna zapada).

KONIEC AKTU III-go.

AKT VI.

SCENA I.

(Salon ten sam, co był w poprzednim akcie, Marya w ran-
nym ubiorze siedzi przy kominku, na którym dzwonek
leży).

OSOBY:

MARYA — JOLANTA — SYDONIA.

MARYA

(po chwili namysłu dzwoni).

Nie wiem, czy Alfred w nocy powrócił? serce
kobiety, to jest jak dziecko co zaczyna chodzić,
probuje sił własnych, ale ogląda się, bo potrze-
buje kogoś silniejszego od siebie, żeby bronił
od upadku!

JOLANTA

(wchodzi w prawo, ze smutnym wyrazem na twarzy).

Pani hrabina dzwoniła?

MARYA.

Tak, kochana Jolanto! chciałam wiedzieć czy pan hrabia powrócił?

JOLANTA.

Gdzie tam powrócił! z przeproszeniem pani hrabiny, panu hrabiemu to się w głowie popsło! ten pałac, to istna wieża babel! pan hrabia pisał do pani Sydonii, że dziś przyjedzie jakaś śpiwaczka włoska!

MARYA

(przerażona).

Jolanto, co ty mówisz? czy to być może?

JOLANTA.

Oto francuzka idzie, to pani hrabinie sama powie!

SYDONIA

(wchodzi wesóło z listem w ręku).

Dobłą wiadomość przynoszę pani hrabinie! będziemy mieli gości! polowanie z damami! śniadanie w boru!

MARYA

(do siebie).

O Boże! do czego to przyszło! (odwraca się do Sydonii) Mam nadzieję, że pani Sydonia z mężem

wszystko gustownie przygotowują! niech i Jolanta
dopomoże do wszystkich przygotowań!

SYDONIA

(wesolo bierze w pas Jolantę i zabiera ze sobą śmiejąc się).

Idźmy, idźmy czempredź wszystko przygo-
tować! (wychodzą w głównych drzwiach ukazuje się
Janusz).

SCENA II.

MARYA — JANUSZ, (który trafiając we drzwiach Sydo-
nią, kłania jęj się przesadnie, Marya wstaje).

JANUSZ

(zbliża się do Maryi, bierza ją w pas i całuje w rękę).

Jakże zdrowie? jakże serduszko?

MARYA

(sucho).

Dziękuję, dobrze!

JANUSZ

(do siebie).

Dziwna rzecz, że się o nic nie pyta? (do Maryi)
Wiesz, już zapewne, Maryo, że będziemy mieli
dzisiaj gości, których nam zazdrości cała War-
szawa. Będziesz słyszała znakomitą śpiewaczkę,
panią Lerois, wszystkie zaprosiny odmówiła, tylko
nasze przyjęła.

MARYA.

Dawno nie słyszałam pięknego śpiewu, mocno się cieszę na tę przyjemność!

JANUSZ

(patrzy bystro na Maryą).

Maryo! ty mi się zdajesz tak nienaturalnie spokojną?! czy to udawanie przedemną, czy nadludzka rezygnacya, powiedz, co to jest?

MARYA

(spokojnie).

To jest, że myślę, iż między rodzinami jak w przyrodzie są chwile burzy, które jak przeminą, to jeszcze piękniejsza pogoda zajaśnieje!...

JANUSZ

(z głębokiem wejrzeniem patrzy na Maryą).

A jak te burze nie przeminą i owszem porwą w dalekie strony... nie chcę powiedzieć kogo... (bierze Maryą za rękę i mówi namiętnie) wtenczas Maryo, ja!... ja jestem panem w Zaborolu! — ja twoim opiekunem!

MARYA

(wyrywa mu rękę, idąc kilka kroków dalej mówi do siebie).

Od pierwszej chwili nienawidziłam tego podłego człowieka! (do Janusza) Nie potrzebuję takiego opiekuna, już mam innego!...

JANUSZ

(idzie za Maryą, bierze ją silnie za rękę).

Tu nikt inny nie ma prawa do ciebie, tylko
mąż i ja!...

MARYA

(wyrywa mu rękę i z gestem dumy mówi).

Idź precz odemnie!... nienawidzę ciebie!...
do głębi duszy pogardzam!.. brzydę się tobą!..
(wstrząsa się).

JANUSZ

(w największym rozdrażnieniu).

Aha! a tamtego nie odpychasz?!... tamtym
nie pogardzasz?!... powiedz mu... powiedz ode-
mnie... (pokazuje gestem) że chyba przez moją
szpadę przejdzie twoje progi!

MARYA

(spokojnie).

Nie wiem o kim pan mówisz? ja mówiłam
o moim bracie!

JANUSZ

(rozśmiał się głośno).

Ha! ha! ha! doprawdy? o bracie!.. piękny
mi brat!... dobrze wiem kto jest ten brat!...
miałas być aniołem (trząs się ze złości) a jesteś...
jesteś szatanem!... a ja ci mówię, że to wszystko
kłamstwo!... znam dawno tego podstępного i po-

długo opiekuna... ja mu to sam powiem... powiem Alfredowi!... powiem matce!... napiszę do prawdziwego brata!...

MARYA

(spokojnie i seryo).

Nie potrzebuje pan pisać, mój brat wrócił wczoraj z emigracyi! nie wiem, czy będę potrzebować innego opiekuna, jak męża? ale w żadnym przypadku nie wybiorę tego, który obraża miłość własną i honor kobiety!...

JANUSZ

(bierze silnie i raptem Maryą za rękę).

Popamiętasz Maryo te słowa! i pożalujesz tej chwili! (odchodzi).

MARYA

(rzuca się na fotel i bierze za czoło).

Ten człowiek mnie zabija! to jest zły duch tego domu! bezczelny! podły! bez serca! bez duszy! boję się jego zemsty! (pochyla głowę, którą podtrzymuje ręką, chwila milczenia, po której ukazuje się Julia i zbliża do Maryi).

SCENA III.

MARYA — JULJA.

JULJA

(zbliża się do Maryi).

Maryo!

MARYA

(odslaniając oczy, spostrzega Julję).

Ach! Julia! co za szczęście! (rzuca jęj się
w objęcie).

JULJA.

Maryo, jakaś ty zmieniona!

MARYA

(czule).

Bo tęskniłam za wami, teraz już tęsknić nie
będę, wiedziałam żeście przyjechali, myślą i ser-
cem byłam między wami!

JULJA

(całuje Maryą).

Moja Maryo! ty musisz być chora? tak mi
pomizerniałaś, tak posmutniała w tym wielkim
pałacu! (ogłąda się).

MARYA

(smutno).

Istotnie jestem mocno cierpiąca, ale opowiedz
mi wasz powrót, a rozerwiesz smutne moje myśli!

JULJA.

Moja droga, trudno sobie wystawić rozpromie-
nie i radość wszystkich! dziadunio i kanonik o dzie-
sięć lat odmłodnieli, kochana ciocia, patrząc na
swego jedynaka, promienieje jak słońce w dniu

pogodnym; starzy ludzie i wieś cała, witali jak swoje własne dzieci, ale cóż z tego, kiedy brakowało kochanej babuni i ciebie Maryo! (podaje jej rękę).

MARYA

(smutno).

Ja już nie należę ani do waszych smutków, ani do waszych radości! (ociera łzy chustką) Jakaś ty szczęśliwa, kochana Juljo! moje szczęście trwało niemal tyle co błyskawica na niebie, błyskawica zgasła i ciemność bez światełka nadziei została!
(Julja rzuca się w objęcia Maryi).

JULJA.

Maryo! co ty mówisz?

MARYA

(wskazuje ręką drzwi boczne).

Tam tylko szczęście moje! tam, przy téj korytarze, która choć mnie nierozumie, to czerpie z niej odwagę i siłę do dalszego życia! Idźmy tam a otworze ci całe zbolełe serce moje! (odchodzą).

SCENA IV.

(Po chwili słychać myśliwską trąbkę, gwar na dworze, wpada całe towarzystwo, panie w amazonkach różnego rodzaju, panowie w strzeleckich ubiorach, księżę tylko ubrany w poważnem i zwyczajnem ubraniu).

MALWINA — NATALJA — ADELINA — ALFRED
— LEON — KSIAŻĘ — JANUSZ.

ADELINA

(którą Alfred wprowadza, w ubiorze eleganckim amazonki, w kapeluszu z piórem).

Quelle charmante partie! jak jestem wdzięczną hrabiemu, że mnie zaprosił!

ALFRED

(kłania się nisko).

Ja tylko mogę być wdzięcznym, za łaskę przyjechania do najniższego jój sługi, który składa wszystko co ma w swoim domu, pod nóżki bożyszcza warszawskiego!

LEON

(śmiejąc się mówi do Natalji).

Ten warjat zapomniał, że ma żonę i dziecko!

NATALJA.

Ręczę panu, że dziś dałby i jedno i drugie!

LEON

(rozśmiał się na głos).

A toby jój dopiero piękny zrobił ambaras!
(część towarzystwa siada i cygara zapalają, rozmawiając do siebie).

ADELINA

(do Alfreda).

A gdzie pan hrabia chowa swoją chatelene i swoją królowę?

ALFRED.

Zapomniałem, zapomniałem! biegnę jej oznajmić jaka ją czeka siupryza! (wychodzi).

JANUSZ.

Zapomniał dodać: „miła“ siupryza! zresztą już dawno nie siupryza!

KSIĄŻĘ

(do siebie).

O biedna ofiaro! nich ci Bóg dodaje sił i odwagi! (Alfred przyprowadza żonę pod rękę, która widocznie osłabiona, mówi do niego pół głosem).

MARYA.

Alfredzie, co ty odemnie wymagasz?

ALFRED

(do Adeliny).

Prezentuję pani moją szanowną i kochaną żonę, jak pani widzisz, un soufflé de femme! a tobie Maryo, prezentuję, la cocluche et l'Idole de Varsovie!

MARYA
(z godnością).

Tyle o pani słyszałam od tych kilku dni, że zdaje mi się, iż ją już dawno znam!

ADELINA.

Wszyscy tak na mnie łaskawi, na panią hrabinę mogłabym tylko się uskarżać bo nigdy jeszcze nie zoczyłam na moich koncertach!

MARYA.

Ja jestem mocno cierpiąca i muszę bardzo się ochraniać.

ADELINA.

Pan hrabia miał słusznąś mówiąc, qu'il a un souffle de femme, mais il y a des souffles qui renversent des chênes!

JANUSZ
(odwraca się do księcia).

Słyszysz Gustawie? ta aluzya to niby do ciebie wprost wymierzona! (książę spojrział seryo i z pogardą na Janusza).

KSIĄŻĘ
(ostro).

Nie lubię takich zaczepek!

ALFRED

(zbliża się do Maryi).

Proś ją usilnie, żeby śpiewała!

MARYA

(spojrzała na księcia).

O Boże! (obraca się do Adeliny) Może mi pani raczy wynagrodzić moją nieobecność na koncertach? dla pani zaśpiewać jest taką małą rzeczą a tak wielką przyjemnością dla tych co słuchają!

ADELINA.

Nie wiem doprawdy jak to pójdzie po tak szalonej konnej przejażdżce?

LEON

(składając ręce).

Wszyscy klękamy i błagamy!... ja będę akompaniował!

ADELINA.

Kiedy wszyscy każą! (zbliża się z Leonem i Alfredem do klawikordu, Natalia i Malwina siadają na kanapie, Marya na fotelu, za którym stoi książę, przy klawikordzie Alfred, Leon i Adelina przerzucają nuty).

MARYA

(do księcia).

O Boże! niech mi książę dodaje odwagi!

KSIAŻĘ.

Czyste sumienia mają zawsze odwagę!

LEON

(trzymając nuty).

Otóż arya „Rosiny!“ a tu z „Favority!“
(Adelina ogląda.)

NATALJA

(do Malwiny).

Patrz jak księcia wzrok tonie w eterycznej
i chwiejącej postaci twojej bratowej!

MALWINA.

Dawno to przeczuwałam, il est fou d'elle!

ADELINA.

Spróbuję „Favoritę“ (kładzie nuty na pulpit, Leon
siada i akompaniuje, poczem śpiewa, wszyscy uważają
z namiętną uwagą, po pierwszej części Alfred daje wiel-
kie brawo).

ALFRED.

Brawo! brawo! co za arja! co za śpiew! ale
ja wolę jeszcze drugą część! (prysuwa się do Ma-
ryi, mówiąc półgłosem ale ostro) Maryo ty nie uwa-
żasz! udajesz słabą, świętą i opuszoną a ja wiem,
że mnie wcale nie potrzebujesz i masz innego
opiekuna!

MARYA

(spojrzała błagająco na męża).

Alfredzie! na Boga, co to znaczy? (Alfred opuszcza Maryą i wraca do Adeliny).

ALFRED.

Blagamy o drugą część!

MARYA

(odwraca się do księcia).

Słyszał księżę? to już sprawka Janusza!
(Adelina zaczęła znowu świewać, śpiewa półgłosem, Janusz zbliża się do Maryi i także mówi półgłosem).

JANUSZ.

Wszyscy admirują, prócz tej nieczulój pary!

KSIĄŻĘ

(wziął silnie Janusza za rękę i przyciągnął ku lewej stronie sceny, mówiąc półgłosem).

Trzeba być podłym człowiekiem, żeby być fałszywym denunciantem!

JANUSZ

(udając zadziwionego).

Czy to dla mnie ten niespodziany komplement? cóż to znaczy?

KSIAŻĘ
(seryo).

Znaczy, że jutro rano czekać będę pana w lasku na Bielanych!... jeden z nas zginąć musi!

JANUSZ
(żartobliwie).

W każdym razie wolę, że ksiązę, niż ja!

KSIAŻĘ
(patrzac groźno na Janusza).

Gdybym miał puginać, przebiłbym cię, nędzniku! (W téj chwili kończy się śpiew i dają rzęsiste brawo, Adelina wstaje, idzie wprost do Maryi.)

ADELINA.

Chère comtesse! zapewne rozstroilaś te słabe nerwy?

MARYA.

Pani żartujesz, to dla mnie parafianki zastąpiło koncert, serdecznie jęj dziękuję! (podaje jęj rękę, w téj chwili slychać trąbkę myśliwską, wszyscy raptem wstają).

ALFRED
(przychodzi do żony i kłania się przesadnie).

Żegnam cię! obowiązek woła! polowanie czeka!

ADELINA

(podaje jeszcze rękę Maryi).

Mam nadzieję widzieć panię hrabinę w Warszawie? (Alfred podaje Adelinie rękę, wychodzą).

NATALJA

(do Maryi).

Daj się namówić, kochana Maryo, będzie nam z tobą weselej.

MARYA.

Nie wymawiam się dzisiaj, bo chcę właśnie jechać do Warszawy, aby widzieć mojego brata! (wszyscy się kłaniają, żegnają i wychodzą, prócz księcia).

SCENA VII.

KSIĄŻĘ i MARYA.

KSIĄŻĘ

(stoi z wyrazem głębokiego smutku i założonemi rękoma na piersiach, patrząc na Maryę).

O! nieszczęśliwa istoto! aniele poświęceń i cnoty! co ja mam zrobić, żeby cię widzieć szczęśliwą!

MARYA

(podaje mu rękę).

Szlachetny i zacny przyjacielu! im więcej czuję

me serce osierocone, tem więcéj... tem więcéj...
(zatrzymuje się z namysłem) zapełnia je wdzięczność
dla ciebie panie!

KSIAŻĘ

(trzymając rękę Maryi).

O, Maryo! pamiętaj o mnie!.. pamiętaj o tem,
jak ja ciebie kocham! pamiętaj, że ja już dziś
nie mógłbym żyć bez ciebie!... jeżeliby miała
kiedy przyjść chwila, gdziebyś samotną pozostala!... (zarzuca ręką włosy na tył) ach! nie śmiem
tego dziś wymówić... jakażby ona szczęśliwą
była dla mnie! (całuje ją w rękę.)

MARYA

(spokojnie z godnością).

Moim najświętszym dzisiaj obowiązkiem jest
ratować od zguby męża i ojca mego dziecka, poświęcając im własne moje szczęście! wszystko ku
temu jestem gotowa zrobić! jadę do Warszawy,
aby porozumieć się z bratem, tam się obaczymy!
a teraz niech książe wraca do zebranego towarzystwa, gdzie nieobecność twoja mogłaby zadziwić wszystkich.

KSIAŻĘ.

Jeżeli pani pozwoli, to przyjdę dzisiaj wieczorem po jój rozkazy? (kłania się i odchodzi.)

MARYA

(sama).

O! jakże to jest niebezpieczne dla kobiety z sercem, tak być kochaną!.. (zasłania sobie oczy rękoma.)

(Kurtyna zapada).

KONIEC AKTU IV.

AKT V.

(W Warszawie, w pałacu Alfreda.)

SCENA I.

(Salonik mały elegancki, drzwi dają na terasę do ogrodu, dwoje mniejszych po bokach, duży długi szeslong do leżenia, przy nim zwierciadło stojące do ubierania z przeciwnéj strony stolik okrągły i fotele.)

MARYA — JULJA — później ZDZISŁAW.

MARYA

(w białej negliżowój muslinowój sukni).

Cóż mówisz, droga Juljo, na to, że idę na bal maskowy? Alfred przyrzekł mi święcie, że mnie zaraz o dwónastéj do domu odprowadzi!... jak tu nie iść?... ale wy musicie ze mną iść, bo on obiecał zaprowadzić Natalję.

JULJA

(na boku).

Żeby tylko Natalję!

ZDZISŁAW

(wchodzi i całuje siostrę).

Droga siostro! nie mogę jeszcze dosyć nacieszyć się Warszawą i wszystkiemi znajomymi! twój tylko smutek był czarną plamą na mojem niebie!

MARYA

(żywo).

Kochany Zdzisławie! dzisiaj jakaś nadzieja zabłysła! posłuchaj! wyjeżdżając, Alfred przyszedł żegnać się ze mną, zastał klęczącą i łzami zalaną przy kołysce, spojrzał na mnie i na dziecko, mówiąc: „Maryo! ja nie jestem tak złym, jak tobie się zdaje! i święci mieli pokusy, a potem jednakowoż nawracali się.“ Padłam mu do nóg, mówiąc: „Alfredzie, podaj mi sposobność, a w ogień pójde, żeby cię wyrwać z tej otchłani.“ Zamyślił się głęboko, raptem podał mi rękę, mówiąc: „Maryo! chcesz mnie ratować, to przyjdź dziś na bal maskowy, a wtenczas ja cię odprowadzę do domu!“

ZDZISŁAW

(żywo).

A więc, Maryo, idźmy! niech twoja przytomność przypomni mu obietnicę!

JULJA.

Kiedy Zdzisław tego zdania, idźmy przygoto-

wać nasze ubranie i postarać się o drugiego towarzysza! (wychodzą.)

SCENA II.

ZDZISŁAW sam — później ALFRED i KSIĄŻĘ.

ZDZISŁAW.

Biedna siostra! babka prawdę jój przepowiedziała! dziś jak wątła gałązka bluszczu, wije się i chwyta swojego krzyża! oby tylko za rychło nie zwiedła!... (stoi zamyślony.)

ALFRED

(wchodzi ożywiony, wesoły, rzuca się w objęcie Zdzisława).

Kochany Zdzisławie, wszędzie szukam ciebie od kilku godzin, Warszawa pełna twego przybycia, każdy się pyta: „widziałeś Zdzisława?“

ZDZISŁAW

(smutno).

Prawda, wielka była to radość widzieć całą rodzinę i ciebie, kochany Alfredzie, ale!.. ale!..

ALFRED.

Cóż tam znowu masz za „ale?“ byłeś zawsze człowiekiem energii i odwagi a teraz wyglądasz jak z krzyża zdjęty!

ZDZISŁAW.

Widzisz, bo mam siłę i odwagę dla wszystkich moich własnych cierpień, ale nie mam jęj dla tych, których kocham a cierpią!

ALFRED.

Taki jesteś niejasny i zagadkowy, że wcale nie domyślam się, o co chodzi?

ZDZISŁAW.

Alfredzie! (podaje mu rękę) z tymi, których kocham, zawsze jestem szczery i otwarty!... powiem ci bez ogródki!... Marya jest bardzo nieszczęśliwa! ona to życiem przypłaci!

ALFRED

(z łagodnością, kładzie mu rękę na ramię).

Mój Zdzisławie, ktoś ci z ziarnka piasku usypał górę! prawda, że ty, coś spokojnem szczęściem twoję wiosnę rozpoczął, nie tak łatwo zrozumiesz, co to jest ten ogień (mówi z zapalem i chwytą się za piersi) młodości, co tu pali, a którego gwałtowne dopiero burze mogą wyziębic! poczem, jak w przyrodzie, ustają wolno i żegnają oddalonymi błyskawicami.

ZDZISŁAW.

To, co tak malowniczo opisujesz, właśnie cię oskarża, kochany Alfredzie, bo jak dla ciebie,

tak i dla mnie, dawno błyskawice te zgasły a nastały chwile dojrzałej powagi!

ALFRED

(podając rękę Zdzisławowi).

Bądź spokojny, kochany Zdzisławie, napojony twoją radą i zasadami, silniejszym będę w zachciankach i pokusach światowych! (odechodzi.)

ZDZISŁAW

(zamyślony).

Coza legkomyslny charakter przy tak dobrym sercu!

SCENA III.

ZDZISŁAW — KSIAŻĘ.

KSIAŻĘ.

Właśnie szukałem pana, szczęśliwy jestem, że cię tutaj spotykam! gorąco pragnąłem mówić sam na sam.

ZDZISŁAW.

Miło mi będzie, jeżeli w czemkolwiek będę mógł księciu być użytecznym!

KSIAŻĘ.

Te słowa dodają mi odwagi wystąpienia z proś-

ba, która jest wielkiej wagi dla mnie, chciałem prosić pana, abyś mi sekundował w pojedynku!

ZDZISŁAW
(przerażony).

Jakto! książę chcesz się pojedynkować? czy to nie może być zmienione?

KSIĄŻĘ.

Nie, nie może!

ZDZISŁAW.

Nie ma żadnego sposobu zgody?

KSIĄŻĘ
(porusza głową).

Nie ma żadnego, bo nie jestem ja osobiście dotknięty, tylko człowiek podły rzuca potwarz na osobę, którą czczę i cenię więcej, niż moje własne życie!

ZDZISŁAW
(zadziwiony).

Więc to matka? albo siostra?

KSIĄŻĘ
(porusza głową).

Nie moja!

ZDZISŁAW.

A czyja?

KSIAŻĘ.

Twoja, panie!

ZDZISŁAW

(z zadziwieniem).

Marya?! ja ktoś oczernia? ah! to istotnie musi już być bardzo podły człowiek!... (podaje mu rękę) ktokolwiek on jest, służę ci przyjacielu!

SCENA IV.

Ciż sami — MARYA — JULJA — SŁUŻĄCY.

(Jolanta wnosi kostiumy, kładzie je na krzesło i odchodzi.)

JULJA.

A więc idziemy, Zdzisławie? (sposstrzega księcia)
A to księżę prawdziwie spadł nam jak z nieba!
my właśnie szukamy drugiego towarzysza!

KSIAŻĘ

(kłania się nisko).

Jestem na rozkazy! i służę paniom z rozkoszą!

MARYA.

Ja idę, ale na bardzo krótko, bo Alfred obiecał odprowadzić mnie już o dwunastą.

KSIĄŻĘ
(na boku).

Co to znaczy?... ja słyszałem zupełnie co innego!... Leon mówił, że lęka się największych ostateczności!... ucieczki!... a nawet podania rozwodowego, które Janusz w swojej zemście sam miał redagować!

JULJA
(ogląda z Maryą ubiory, Julja podaje księciu beret, mówiąc).

Dla księcia z czerwonym piórem, bo nasze płaszczyki mają czerwone kokardy!

MARYA.

Wiem, że Alfred będzie miał białe pióro!

JULJA.

Maryo! ubierajmy się co prędzej! już wielki czas! (wszyscy zaczynają brać na siebie kostiumy, panowie czarne peleryny i czarne hiszpańskie berety, panie biorą na suknie płaszczyki z kapiszonami, wszyscy nakładają maski).

MARYA.

Ktoby mi był powiedział, że ja będę na balu maskowym.

JULJA
(staje przed zwierciadłem i śmieje się).

Jak to okropnie wygląda! nikt nas nie pozna!

ZDZISŁAW

(dzwoni na służącego, który wchodzi).

Czy kareta zajechała?

SŁUŻĄCY.

Zajechała! (odchodzi).

ZDZISŁAW.

A więc jedźmy! (podaje rękę żonie i wychodzi).

MARYA

(do siebie).

Nie wiem dlaczego, ale mnie tak serce mocno bije, w ostatniej chwili tracę odwagę! (książę podaje jej rękę i wychodzi — kurtyna zapada na chwilę dla zmiany dekoracyi).

SCENA V.

(Scena wyobraża pokój dla dam, trochę przyciemniony, zwierciadło stoi do ubierania, kanapa, krzesła, w środkowej ścianie trzy duże arkady, za niemi sala balowa, gdzie maski ciągle przechodzą, w głębi przygrywa orkiestra różne tańce.)

OSOBY:

ALFRED — LEON — JANUSZ — ADELINA — MALWINA — NATALJA (w maskach wchodzą bocznymi drzwiami) później MARYA — JULJA — ZDZISŁAW — KSIAŻĘ.

(Alfred i Leon mają duże, białe pióra, Adelina i Malwina białe domina, na głowie koronkowe czarne mantyle, Janusz i Natalia zupełnie czarno).

JANUSZ.

Bardzo dobrze, żeśmy głównemi drzwiami nie weszli, tu panie mogą poprawiać jeszcze swoje toalety!

NATALJA

(zbliża się do głównych drzwi).

Zdaje mi się, że będzie kontredans, jakiś kadryl występuje! (za arkadami maski przechodzą).

MALWINA

(poprawia ubiór przy zwierciadle).

Ja już gotowa! idźmy na rekonesans! musimy szukać, le prince charmant! pewno będzie przebrany jako Karol ponury i odważny!

NATALJA.

Albo jak rycerz z ballady Odyńca uzbrojony, aby wykraść swoje bohdankę!?

LEON.

Wiem ja wiem, wiem o projektach ucieczki, ale nie księcia!

NATALIA.

Powiedz mi pan, powiedz, je vous en conjure, ja sekretu dotrzymam!

LEON.

O! nie! nie mogę powiedzieć! i mam nawet nadzieję, że to nie przyjdzie do skutku! — A teraz idźmy, bo zaczynają kadryla! (Leon i Janusz biorą damy pod rękę i idą na salę, Alfred i Adelina stoją przed zwierciadłem, ostatnia układa koło głowy koronkową mantylę, pod którą leżą przypięte strojne kwiaty).

ADELINA

(zdjęła maskę).

J'étouffe! a tu nikt nie przyjdzie! wypocznę, aby chwilę!

ALFRED

(zdjął także maskę, drgnął, olśniony widokiem Adeliny).

Jakaś ty piękna, Adelino!.. wszystko można zapomnieć przed blaskiem twoich oczu! (bierze ją za rękę) Cóż to za kara Boża dla mnie, żeś ty taka urocza!

ADELINA

(patrzy na niego zalotnie).

Taką jestem, żebyś mnie kochał Alfredzie!.. taką jestem, ażebyśmy szczęśliwi byli, jak dwunasta wybije!

ALFRED

(przeżalony wstrząsł się cały i wziął ręką czoło).

Prawda!.. (mówi jak nieprzytomny) jak dwunasta wybije!..

ADELINA

(kładzie mu rękę na ramię i wpatruje się w niego namiętnie)

Szczęście nasze się zacznie, uchodźmy daleko od świata, którego gwar razi serca, co się kocha!.. uchodźmy tam, gdzie tylko drzewa, kwiaty, niebo, gwiazdy będą świadkami naszego szczęścia!...

ALFRED

(widocznie walczy ze sobą, zarzuca włosy ręką na tył i mówi na boku)

O, Boże! Zdzisławie! żebyś widział jaka ona piękna! żebyś widział, jak ona mnie kocha! żebyś czuł, jak ja już słabnę!.. jakiej to siły trzeba, żeby z takich rąk wyrwać mogła człowieka!.. O, Boże! ja przecież żonie obiecałem powrócić do domu!.. O! ja nędzne stworzenie!.. (odwraca się do Adeliny) Adelino!.. co ty ode mnie żądasz? ja mam żonę! ja mam syna!..

ADELINA

(namiętnie i groźnie)

Alfredzie! pamiętaj co ja ci poświęciłam!.. przypomnij sobie chwilę, kiedyś mi powiedział, że mnie jedną nad wszystko i nad wszystkich kochasz!.. pamiętaj, coś mi przed tą chwilą obiecał!.. (mówi coraz groźniej) przypomnij sobie, że ci wtenczas uwierzyłam!... że dlatego obiecałam wszystko dla ciebie porzucić!.. świat co mi hołduje!.. bogactwa co się na mnie gradem sypią!..

a kiedy ja, tyle złota, tyle klejnotów razem z hołdem tylu serc depcę dla ciebie nogami (wskazuje ręką ziemię), ty!... ty się wahasz i nie chcesz słowa dotrzymać!..

ALFRED

(klęka i bierze ją za rękę).

Adelino! przebacz! (w téj chwili ukazują się w bocznych drzwiach Julja, Marya, Zdzisław, Księżę w maskach, Alfred odwrócił się, powstaje raptem i nakłada z Adeliną maski) O, Boże! czerwone pióra! to oni!..

SCENA VI.

Ci sami — JULJA — MARYA — KSIĄŻĘ — ZDZISŁAW.

MARYA

(poznała męża).

Białe pióro!... to mój mąż! (do Alfreda) Alfredzie! kazałeś mi przyjść, jestem!... przyszłam nie dla siebie, ale dla ciebie!... będę cię czekać tutaj do dwunastój!...

ALFRED

(na boku).

Przebóg!... co ja pocznę?!...

MARYA

(do Adeliny, biorąc ją za Natalję).

Zaraz cię poznałam, kochana Nataljo!

ADELINA
(zadziwiona).

Nataljo?!...

JULJA
(do Adeliny).

Czy byłaś już, Nataljo, na salonie? (Adelina pokazuje głową, że nie) My idziemy na chwilę, aby Maryi pokazać ten ruch, ten zgielk, którego ona nigdy nie widziała!

MARYA
(do Alfreda).

Alfredzie, idę, ale o saméj dwunastéj stawię się tutaj, ażeby za tobą czekać!

ALFRED
(żywo i pomieszany).

Maryo!... bo widzisz... może, iż się trochę zpóźnię... bo... bo kolacya dla tych pań obstawiana na dwunastą!... (potem bierze Zdzisława za rękę, odciąga na bok i mówi) Zdzisławie!... jeżeli masz rewolwer, strzel mi w serce!... jestem bez zmysłów!... odurzony!... za słaby!... a nie chciałbym żyć znańbiony!...

ZDZISŁAW.

Alfredzie! odwagi!... przecie jesteś mężczyzną!... małżonkiem!... ojcem!... pójdziemy razem z tobą i będziemy stróżami twego prawdziwego szczęścia!

ALFRED.

Zaraz idziemy za wami! (wszyscy odchodzą,
prócz Alfreda i Adeliny.)

SCENA VII.

ALFRED — ADELINA — później LEON — NATALJA
— JANUSZ i MALWINA.

ADELINA

(groźnie).

Co to wszystko znaczy?...

ALFRED

(niby obojętnie).

O! nie, to nie! te panie przyszły na chwilę
ze Zdzisławem, bo nigdy balu maskowego nie wi-
działy!

LEON

(wchodzi ze sali z Malwiną, Janusz z Natalją).

Szukam was bo kolacya gotowa! (Adelina roz-
mawia z Malwiną i Natalją, Alfred pociągnął Janusza na
bok i mówi).

ALFRED.

Januszu! ratuj!... zgubiony jestem!... co
teraz robić?... widziałeś?... Marja przyszła!...

JANUSZ.

Ja cię już wyratuję! wiesz, że zawsze mam dobrych rad pełne kieszenie!

ALFRED.

Nierozważnie obiecałem dziś Maryi, że o dwunastój odprowadzę ją sam do domu, a to właśnie będzie godzina kolacyi!... o, Boże!... (na boku) czy ja potrafię się oprzeć.

JANUSZ

(legko).

To bardzo łatwa rada!... oto tak zrób'!... (mówi coś do ucha) czy nie będzie doskonale?!

ALFRED.

Co za szatańska myśl!... (zamyślony) w każdym razie nie ty!...

LEON

(patrzac na zegarek).

Panowie! już czas na kolację! (wszyscy biorą się pod rękę i wychodzą prawą arkadą, muzyka gra porywające tańce, po chwili lewą arkadą wchodzi Julja i Marya).

SCENA VIII.

MARYA — JULJA — później ALFRED.

JULJA

Marjo! odwagi! (Marya zdejmuję maskę i rzuca się na kanapę).

MARYA.

Juljo! ja nie dożyję do dwunastój!... mnie już wszystkie siły opuszczają! (opiera się na kanapę i bierze za serce).

JULJA.

Maryo! Maryo! odwagi! chwila stanowcza nadchodzi!

MARYA.

A jak nie przyjdzie?

JULJA.

Ależ przyjdzie!

MARYA.

Widzisz Juljo! jaką kobieta jest słabą i wątłą istotą! (zamyślona) Ja szukałam i chwytalam się opieki Alfreda, bo zdaje mi się, że nie ma dość silnej pokusy, któraby wtrącić potrafiła kobietę w przepaść, kiedy ją mąż od niej wstrzymuje!... (w tej chwili zegar bije dwunastą).

JULJA.

Dwunasta!

MARYA

(bierze się za serce).

O, Boże! jak mi serce bije! (we drzwiach głównych ukazuje się Alfred, z wolna zbliża się do środka, Marya zrywa się z kanapy) Ah! Alfred! (idzie ku niemu, on w milczeniu podaje jej rękę, wychodzą bocznymi drzwiami).

Kurtyna zapada na chwilę, poczem muzyka ustaje.

SCENA IX.

(Przy podniesieniu kurtyny ukazuje się poprzedni salonik, drzwi szklane na terasę, po prawej długi szeslong do leżenia).

OSOBY:

ALFRED i MARYA.

(Idą ku kanapie, gdzie Marya zrzuca płaszcz i maskę poczem raptem klęka przed Alfredem, który równie zdjął maskę, ale ręką zakrywa twarz).

MARYA.

Alfredzie!... mężu!... daruj, że cię na chwilę posadziłam!...

KSIAŻĘ

(spuszcza rękę, Marya poznaje go, przerażona wstaje raptem).

Pani! przebacz!...

MARYA

(przeraźliwym głosem).

Ach! to nie mój mąż!... (wzięła się za serce i pada zemdlona w objęcie księcia, który składa ją przy zbliżonej kanapie).

KSIĄŻĘ

(przerażony).

Maryo! przebacz mi!... o Boże! jaka blada!.. (klęka przy niej) Maryo ty byłaś aniołem, którego żadna siła do złego wtrącić nie mogła!... (całuje ją po rękach) Maryo! przebudź się!... o! nie umieraj teraz, kiedy mi coś skrycie mówi tutaj... (wziął się za serce) że ty mnie kochasz! (Marya zaczyna się poruszać, bierze się za serce i głęboko westchnęła, potem przesuwa ręką po czole, drugą księżę trzyma w swoich i całuje) O! nie, Maryo! ty nie możesz teraz umierać! (Marya przychodzi do przytomności, księżę mówi do siebie) Ale jak jój to będzie prawdę powiedzieć?... jak ten list pokazać?...

MARYA

(otwiera oczy, spostrzega księcia).

To nie mój mąż! (Marya podnosi się).

KSIĄŻĘ

(pomaga jój do powstania).

Maryo! odwagi! to nie my rządzymy naszymi losami, tylko Bóg!

MARYA.

A gdzie jest Alfred?

KSIAŻĘ
(wahając się).

Boże! jak tu powiedzieć prawdę?.. Pani! nie chciałbym powiedzieć ci prawdy!

MARYA
(spuszcza nogi z kanapy i siada, mówi żywo z rozkazującym gestem).

Ja chcę wiedzieć prawdę!

KSIAŻĘ
(składa ręce do prośby).

Maryo! zapomnij go!.. już go nie ma w Warszawie!..

MARYA
(zakrywa oczy).

Ach! ja tego nie przeżyję!

KSIAŻĘ.

Mam jeszcze zlecenie od Alfreda! ale nie śmiem o niem mówić.

MARYA
(zbierając widocznie siły).

Jakie zlecenie?.. mów' książę!

KSIĄŻĘ.

Bolesne dla ciebie pani, ale może teraz otwiera się ścieżka, która prowadzi do szerokiej szczęścia drogi! (wydobywa duży list) Przykro mi, że Alfred właśnie mnie dał to zlecenie, ale oddając mówił: „wiem, że ty jęj nigdy nie opuścisz.“ (Książę rozwinał list i mówi z widocznym wzruszeniem) To jest... to jest... do podpisu... akt rozwodu!...

MARYA

(zrywa się raptem, z gestem godności i zgorszenia, oddała ręką papier, mówiąc silnym głosem).

Nie podpiszę!

KSIĄŻĘ

(klęka przed nią),

Maryo! podpisz!.. dla twego i mego szczęścia zaklinam się, podpisz! (wstaje).

MARYA

(trzyma się chwiejąca kanapy).

Książę zapomniałeś, że ja mam syna!... że noszę jego nazwisko!.. i, że to muszę utrzymać nieskalane!.. (poczem siada na kanapę jak złamana)

KSIĄŻĘ

(załamuje ręce).

Maryo! patrz na mnie! i zlituj się nademną! podpisz!.. bo ja dziś już bez ciebie żyć nie mogę!.. (bierze ją za rękę).

MARYA

(zwisła na półleżąca na kanapie).

I ja żyć nie będę!... i żyć nie mogę!...

KSIĄŻĘ

(z przerażeniem).

Dlaczego?

MARYA

(słabnąc, mówi półgłosem).

Bo ja już nadto zawiniłam.

KSIĄŻĘ.

Ty!? aniele!

MARYA

(leży cała na kanapie, mówi coraz wolniej).

Nie... ja żyć... nie mogę... i nie chcę!

KSIĄŻĘ

(podtrzymuje zwisłą jej głowę).

Dlaczego, Marjo?

MARYA

(chwytą się raptem za serce, wydaje przeraźliwy krzyk i mówi).

Ah!... bo ja ciebie, Gustawie, pokochałam!
(zamyka oczy i mdleje).

KSIĄŻĘ

(z przerażeniem).

O, Boże! ona umiera! (w téj chwili, przerażeni wy-

kiem Maryi, wbiegają bocznymi drzwiami Julja, Zdzisław i Jolanta).

SCENA X. i ostatnia.

Ci sami — JULJA — ZDZISŁAW — JOLANTA
i DOKTÓR.

JULJA

(wbiega i pada na kolana przed Maryą).

Maryo! (odwraca się do Jolanty) Doktora! (Jolanta wychodzi i powraca wkrótce) Marjo! (Zdzisław stoi przed siostrą przerażony).

MARYA

(otwiera wolno oczy, mówi z wysileniem i przestankami).

To ty Juljo? (pokazuje na serce) Już bić... przestaje... (oddycha głęboko) Juljo!... czuję, że umieram!... księdza!... (Jolanta znowu wybiega po księdza) Już nie obaczę matki!... nie obaczę dziecka!... że... gnam... ciebie... Juljo!... bra... cie!... i ciebie... przy... jacielu!... (wyciąga rękę do księcia, a wtem wydaje okrzyk) Ah! Boże!... (głowa jój zwisa, książę oczy ręką zasłonił i płacze, Julja i Zdzisław klęczą przy niej).

DOKTÓR

(wchodzi, bierze ją za rękę).

Już jój między nami nie ma!..

(Księżę rzuca się na jej ręce i całuje z rozpaczą, po czem powstaje raptem, podaje po kolei Julji i Zdzisławowi rękę i odrazu, nie odwracając się, wybiega na ganek, gdzie drzwi były otwarte, w téj chwili słyhać wystrzał z pistoletu i odgłos ciała, które pada).

JULJA.

Ach! (chowa rękoma oczy, doktor ku drzwiom wybiega, spojrzal i zaraz wraca na scenę).

DOKTÓR.

Już i jego nie ma! są tam oboje razem!..
(podnosi oczy do góry).

(Kurtyna zapada.)

KONIEC.

